Nr. 6. Poznań, niedziela 9-go lutego 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Koźmian i Lubomirski.

W naszej literaturze politycznej dwa dziwne odezwały się głosy, dwa programy przyszłości, którym poklask niesie frenetyczny i wonne kadzidła pali prasa rosyjska i niemiecka. Jedno z nich (Stanisław Koźmian) znają już czytelnicy „Przeglądu“ z obszernych artykułów polemicznych *Kazimierza Bartoszewicza*, drugie — mówimy o księciu Józefie Lubomirskim — rozniosły po świecie szerokim entuzyastyczne reklamy urzędowego organu Hurki i Szuwałowa: „Dniewnika Warszawskiego“. Potomek hetmanów i senatorów złożył swój program w czwartym tomie francuzkiego dzieła p. t. „Historya współczesnych zmian w Europie politycznej i społecznej“, a wierny hasłu rozbrzmiewającemu na paryzkim bruku: „Niema Polski! Jest tylko Rosya!“ — zadzwonił pobudkę zupełnej abdykacyi narodowej. I zabrzmiał jeden głos tryumfu w całej prasie rosyjskiej i „Dniewnik Warszawski“ ogłosił światu, że nareszcie znalazł się Polak, *„który ośmiesza dążenia szowinistów polskich i mówi jasno o zlaniu się z Rosyą“*. Organ Hurki i Szuwałowa podnosi z uznaniem, że książę w r. 1863 nie brał udziału w powstaniu, „chociaż patrzył na zły pod tym względem przykład ojca“, a gdy, *jak sam mówi,* przypatrzył się mapie przyszłej Polski, sporządzonej przez „szlachtę polską“, wtedy „stał się nieprzejednanym wrogiem powstania“.

Nadzieje zupełnego rozpłynięcia Polski w morzu rosyjskiem opiera ks. Lubomirski na rzekomym fakcie, „że różnice religijne tracą z dniem każdym na doniosłości“ i „nie dalekim jest czas, w którym fanatyzm niemożliwy, ustąpi miejsca indyferentyzmowi“. Dla znawców stosunków w rosyjskim zaborze wątpliwemi być muszą podstawy, na których apostół abdykacyi narodowej opiera swoje marzenia, ale bądź co bądź znamienną jest ta intencya nowego polityka, znamienne ideały, które stawia na polskich ołtarzach.

A skoro różnice religijne tracą na sile i doniosłości, — mówi dalej ks. L., — czemużby Polacy nie mieli żyć spokojnie i szczęśliwie *pod rosyjskiem niebem*“ — „Oni zyskują więcej — a podajemy tu w dosłownem brzmieniu cytaty z książęcego dzieła — niż rosyanie“, — bo „istnienie wielkiego państwa trwalszem jest niż małego“, a „Polak, wierny poddany Rosyi, nie budzący w Rosyanach żadnych podejrzeń, *będzie z większym pracował pożytkiem w służbie wielkiej Rosyi, niż w takiem państwie o nietrwałej egzystencyi politycznej jak Bułgarya, Serbia, a naturalnie i Polska.*“.

Nie po raz pierwszy zdarza się, że polski publicysta sympatye swoje zwraca w kierunku rosyjskiego olbrzyma. Mieliśmy nawet i dziś jeszcze mamy w narodzie naszym licznych słowianofilów, wierzących silnie, że nadejdzie chwila wielkiego państwa związkowego, na którego czele stanie Rosya, a w którem każdy naród słowiański pielęgnować będzie spokojnie swój język, wiarę i względną przynajmniej odrębność polityczną; propaganda jednak zupełnej abdykcyi na korzyść Rosyi dotychczas wśród publicystów polskiego narodu liczyła zaledwie trzech czy czterech przedstawicieli; tamci nie wyrzekali się idei narodowej, nie kwitowali z ojczyzny, lecz szukali zmartwychwstania Polski w kombinacyach słowiańskich, — ci, z ks. Lubomirskim na czele, zalecają rozpłynięcie w morzu rosyjskim, rzucając co najwyżej łaskawą koncesyę, że w tem przetopieniu Polaków na Rosyan skarb polskiego języka nadal istnieć będzie. Z tamtymi można się sprzeczać o prawdopodobieństwo politycznych marzeń, można kwestyonować rozmiary koncesyi narodowych, tkwiących w tym lub owym programie słowianofilów, — z ks. Lubomirskim natomiast dla nas kończy się wszelka dyskusya.

To też, wyrzekając się polemicznych komentarzy, zapisujemy tu tylko jeden jeszcze ustęp z „Dniewnika Warszawskiego“, rzucający charakterystyczne światło na drugiego reprezentanta abdykacyi: p. *Stanisława Koźmiana.* Ustęp ten brzmi:

„Zagraniczna prasa polska nie wspominała ani słówkiem o pracy ks. L. *A jednak myśli jego bardzo są w wielu rzeczach zgodne z wywodami drugiego polskiego historyka i publicysty Koźmiana*, w jego *„Rzeczy o roku 1863“*. Różnica polega *tylko* na tem, że Koźmian, *jako poddany austryacki, nie może* doradzać Polakom zbliżenia się do Rosyi, ale ganiąc stanowczo wszelkie zabiegi ku przywróceniu samoistnego bytu politycznego, stara się on przekonać o tem, że Polacy winni dążyć do przechowania narodowości, a do tego potrzeba *pogodzić się z warunkami politycznemi, istniejącemi dzisiaj. Dowiódłszy, że polityczne odrodzenie Polski jest najzupełniej niemożliwe,* Koźmian nie mówi nic o tem, jaką drogę winni obrać Polacy dla przechowania narodowości. Ks. Lubomirski mówi *jasno* o zlaniu się z Rosyą, a to nie odpowiada życzeniom polityków austro-polskich, których większość nie pozbyła się jeszcze mglistych nadziei o możliwości urzeczywistnienia idei jagiellońskiej“.

W chwili ukazania się powyższej reklamy rosyjskiej, pojawił się również panegiryk niemiecki w berlińskiem piśmie „Das kleine Journal, o którem „Czas“ krakowski z lubością donosi, że czytywanem jest przez cesarza Wilhelma. Organ ten zapowiada przekład Koźmianowskiej ewangelii na język niemiecki i streszczając poglądy tam wyrażone stwierdza, że według p. Koźmiana „niezależna Polska jest niepodobieństwem“. Sprawozdawca berlińskiego dziennika jednak nie powiedział wszystkiego, są bowiem w książce krakowskiego polityka inne jeszcze kwiaty cudownej woni, które niewątpliwie rozradują serca Bismarkowskiego pokolenia. Posłuchajmy: „Odbudowane państwo polskie nie miałoby warunków bytu“ (tom III, str. 254). — „Społeczeństwo rosyjskie już w r. 1862 miało wyższe wykształcenie polityczne, niż Polacy“ (tom II, str. 168). — „Naród polski ma skłonności do obłudy“ i mnóstwo innych atutów Stańczykowskiej mądrości. Zaiste! Pięknych dożyliśmy czasów. W Paryżu ks. Lubomirski „mówi jasno o zlaniu się Polski z Rosyą“, — w Krakowie hr. Stanisław Koźmian dowodzi, że „niezależna Polska jest niepodobieństwem“, a „Czas“ krakowski w radosnem upojeniu śpiewa sonety i ody.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Szykany policyjne. W „Gazecie Grudziądzkiej“ (Nr. 12) czytamy:

„Sokół grudziądzki“ musiał zawrzeć bliższą a wcale niepożądaną znajomość z policyą.

„Sokół“ tutejszy, jak Sokoły w ogóle, jest jak

wiadomo, Towarzystwem gimnastycznem, a nie ma nic wspólnego ze sprawami politycznemi ani też publicznemi. To też Sokoły nie podlegają wcale przepisom prawnym o zebraniach i stowarzyszeniach. Nie potrzebują więc meldować swych zebrań, podawać listy członków ani zarządu, ani też nie potrzebują posiadać ustaw.

Policya ma jednak prawo w interesie obyczajności itp. kontrolować także Towarzystwa niepolityczne i nie zajmujące się sprawami publicznemi, a więc i Sokoły. A z tego to prawa zdaje się tutejsza policya chcieć korzystać. Przed pewnym czasem dowiadywali się bowiem policyanci, kto jest przewodniczącym tutejszego „Sokoła", a dowiedziawszy się, że jest nim redaktor „Gazety Grudziądzkiej" p. Kulerski, pytali dalej, czy Towarzystwo ma ustawy.

Otrzymawszy odpowiedź potakującą, zażądała policya przedłożenia ustaw. Zarząd Towarzystwa zastósował się do wezwania policyi i wręczył jej takowe, lecz naturalnie w języku polskim, gdyż tylko w takim istnieją.

Tem jednakże policya się nie zadowolniła, gdyż wczoraj nadeszło z jej strony do Zarządu „Sokoła" na ręce p. Kulerskiego następujące pismo.

„Zarząd wzywamy niniejszem do odwrotnego dostawienia nam niemieckiego tłómaczenia statutów Towarzystwa. — Polski."

Jeżeli jednak policya grudziądzka sądzi, iż Zarząd Sokoła do tego żądania się zastósuje, to tym razem grubo się myli.

§ 2 prawa o stowarzyszeniach opiewa bowiem, iż tylko towarzystwa, zajmujące się sprawami publicznemi lub politycznemi, są obowiązane przedłożyć statuta, a wyrok najwyższego trybunału z dnia 27 marca i 27 października 1873 orzeka, iż statuty te mają być ułożone w języku niemieckim. Sokół zaś, który jest Towarzystwem niepolitycznem, i nie zajmującem się sprawami publicznemi, nie ma obowiązku, po pierwsze wogóle ustaw układać, po drugie eszcze mniej układać je w języku niemieckim.

„Sokół" grudziądzki uchwalił sobie przypadkowo ustawy, lecz tylko na to, aby członkowie wiedzieli, jakie są ich obowiązki i prawa, więc tylko do prywatnego użytku.

Gdy jednak policya, mająca prawo kontrolowania i niepolityczne Towarzystwa, zażądała wręczenia jej swych ustaw, trzeba było temu żądaniu zadosyć uczynić, lecz rzecz to prosta, iż dało jej się ustawy w takim języku, w jakim są spisane. Gdy się zaś tłómaczenia niemieckiego nie posiada, nie ma prawa wymagać, aby Towarzystwo robiło sobie niepotrzebne koszta w celu wygotowania tłómaczenia. Przecież policya musi mieć urzędników takich, którzy po polsku rozumieją, boć n. p. na zebrania polskie takowych przysyła. Niechaj więc im każe ustawy „Sokoła" przetłómaczyć.

Podobnej treści będzie też odpowiedź, którą policya na wyżej wspomniane żądanie otrzyma.

* * *

Pierwsza bitwa. Pod takim tytułem zamieszcza „Kuryer Lwowski" (Nr. 31) następujący artykuł:

„Pierwsza walna bitwa stronnictwa ludowego z większością konserwatywną w Sejmie stoczyła się wczoraj przy rozprawie jeneralnej nad ustawą łowiecką. Stanęły przeciw sobie dwa obozy, jeden pod sztandarem: „Prawo do zabawy" drugi pod hasłem: „Prawo do bytu"; z jednej strony, nietolerancka, namiętna, zaciekła większość, z drugiej, spokojna, ale niewzruszona i pewna swoich zasad opozycya, Posłowie ludowi walczyli uparcie jak żołnierze na wyłomie o każdy kęs praw chłopskich i chłopskiej własności, wydzieranych im na rzecz panów, niechcących nic uronić ze swej myśliwskiej zabawki.

Większość konserwatywna odrzucała naturalnie wszystkie ich wnioski, a tak przywykła od dawna, że w Sejmie nikt się nie ważył podnieść głosu opozycyi, iż kiedy Bojko skonstatował w najłagodniejszych słowach, co się dzieje, mówiąc: „Widzę, że panowie z większości niemiłosiernie druzgoczecie nasze poprawki"... wtedy w całym Sejmie odezwało się głośno: „Ooo!" a marszałek z niepraktykowaną w żadnych ciałach parlamentarnych gwałtownością rzucił się w ostrych słowach na posła, który ani od rzeczy nie odbiegał w przemówieniu, ani nie użył żadnego obelżywego wyrazu, ani w jakikolwiekbądź inny sposób nie ubliżył zwyczajom parlamentarnym. Jakże wspaniale odbijała na tem tle niewzruszona postać włościanina, który ze spokojem wytrawnego parlamentarzysty, mimo tej burzy dokończył swego wniosku: „Stawiam zatem wniosek o imienne głosowanie!"

Naturalnie i na to większość nie przystała, a wtedy posłowie „Stronnictwa ludowego", „Związku chłopskiego" i Rusini użyli ostatecznego środka, przysługującego opozycyi i dla zadokumentowania, jaka się im krzywda dzieje — wyszli ze sali!

To przeszło wszelkie pojęcie pp. konserwatystów! Nie byli na to przygotowani, powstało wśród nich poruszenie zdumienia a p. Zdzisław Skrzyński, odgrywający rolę telefonu między sferami wysoko siedzącemi w sejmie z posłami, począł się uwijać jak w ukropie, a przyłapawszy po drodze posła Nowakowskiego, przedstawiał mu: „Bójcie się Boga ludzie, co robicie! Przecież w tej chwili dwie poprawki (drobne stylistyczne zmiany p. Żardeckiego. P. R) przyjęto, nie macie już czego wychodzić Wróćcie się"!

Naturalnie wszelkie namowy nie zrobiły wrażenia na opozycyi, świadomej swoich celów i swego stanowiska,

Jakże wygląda wobec tej garstki większość sejmowa, która pozostawszy w zdekompletowanym sejmie, było bowiem tylko 52 posłów w sali, a ustawa wymaga obecności 76 do ważności uchwał, mimo to uchwalała sprawy obchodzące żywo kraj cały?"

* * *

Oświata ludu w zaborze pruskim. „Przegląd Wszechpolski" wypowiada w Nr. 3. następujące zdanie o oświacie ludu naszego:

„Każdego Polaka, przybywającego na kresy zachodnie, po bliższem przyjrzeniu się stosunkom tamtejszym niemile razi fakt wytężania wszystkich sił na formalną walkę polityczną ze szkodą nieraz innych stron działalności narodowej. Wybór posła polskiego wydaje się wszystkim sprawą największej wagi, chociaż działalność tego posła i towarzyszy jego okazuje się zupełnie bezpłodną. Natomiast działalność duchowa jest zazwyczaj lekceważoną. Słyszymy ciągle o wysokiej oświacie chłopa wielkopolskiego, ale przejrzawszy katalogi czytelni ludowych, przekonawszy się, czem lud tamtejszy karmi swój umysł, nie możemy zgodzić się na ten pogląd optymistyczny. Zdarzyło mi się spotkać na Szląsku zasłużonego i gorliwego działacza politycznego, człowieka z wykształceniem uniwersyteckiem, który nie miał pojęcia o literaturze polskiej, nie słyszał nigdy o istnieniu Orzeszkowej. Do włościanina posiadającego co najmniej w trzeciem pokoleniu wykształcenie szkolne, wydawnictwa ludowe przemawiają w tonie patryarchalnym, oddawna zarzuconym gdzieindziej. Wysławiane książki historyczne, które rozeszły się w tysiącach egzemplarzy, są nędznemi ramotami, skleconemi bez znajomości przedmiotu bez szczypty talentu. Język wielu pism ludowych jest haniebnem przedrzeźnianiem polszczyzny. Gdyby drobną bodaj część sił zajętych walką polityczną zwrócono do krzewienia rzetelnej oświaty, do uczenia dzieci po

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

— Oby tylko zacząć! — pomyślała — ale jak tu zacząć?

I nim jeszcze znalazła odpowiedź na to pytanie, już usta jej mówić poczęły.... Prawiły o rzeczach niezgodnych z biegiem jej myśli, mówiła, byle tylko mówić, byle go słowami przygwoździć do miejsca, aby tylko nie wstał i nie poszedł oglądać z tamtymi sztucznego zamku.

— Musi to być bardzo przyjemnie, gdy zebrana publiczność bije brawo grającym na scenie. Wyznaję szczerze, że mam ogromną ochotę do grania... a przecież boję się trochę. Nie bardzo, ale zawsze odrobinkę.

Wydawać się może, że Lola istotnie boi się nawet już teraz, bo usta jej pobladły i drżą, niespokojne ręce nie mogą znaleźć odpowiedniego zajęcia.

— Nie powinna się pani obawiać, wszakże będę przy pani.

— To prawda, pan mi dodasz otuchy— westchnęła.

— Gdyby pani przypadkiem zapomniała roli, proszę nie tracić fantazyi. Ja często mówię własnemi słowami, co mi na myśl przyjdzie i zawsze wynik jest dobry.

Sekunda mija po sekundzie. Czuje to Lola doskonale, jak gdyby patrzyła na zegarek: każde uderzenie pulsu w skroni to jeden krok naprzód małej, sekundowej wskazówki. Drętwieje na myśl, że nic nie powie — drętwieje również na myśl, że coś powiedzieć musi. Spuszcza zatem oczy i jeszcze więcej zmieszana niż przedtem, szepce z cicha:

— Tak... tak... tak...

Głębokie westchnienie przerywa dalsze jej słowa.

— O czem pani myśli? — zagadnął w tej chwili niespodzianie Dyniecki. — Założyłbym się, że nie o teatrze.

Zgadłeś pan. Myślałam o czemś, co jest bardzo od teatru odległe, bo o rzeczywistości.

— A czy wolno zapytać o jakiej?

Lola drzy jak we febrze.

— Nie mam przed panem tajemnic. Myślałam o własnem szczęściu.

Dyniecki począł uśmiechać się zagadkowo, nie przestając świdrować przenikliwem spojrzeniem twarzy dziewczęcia — wreszcie wycedził słowo po słowie:

— A cóż pani nazywa swojem szczęściem?

— Co ja nazywam?... Mój Boże, to takie proste, a przecież takie trudne do wypowiedzenia — odpowiada dziewczyna z uśmiechem, który raczej płacz przypomina.

— Może pani dopomódz?

— Jeżeli się pan domyślasz, to pomocy nie potrzeba, jeżeli nie.... w takim razie na nic się pomoc nie przyda.

Dyniecki wstał.

— Tak jest — rzekł — domyślam się... Pewnego pięknego poobiedzia oczy nasze spotkały się na ulicy.... Była to chwila jedna, chwilka zaledwie...

Lola zrywa się gwałtownie i patrząc w ziemię, przyciska rękę do serca, które chce jej pierś rozbić na szczątki.

— Tak panie, pan wiesz zatem — mówi prędko, głosem cichym, zachwytując w przerwach powietrza — panie, ja pana bardzo kocham. Nie drżałam nigdy przed nikim, a przed panem drżę i chce mi się płakać. Kiedy pana nie widzę, bardzo mi tęskno — a jak pan przyjdziesz, znowu mi tęskno, że wnet odejść musisz.... i tak wciąż, wciąż, od wielu dni....

Ciepłe, serdeczne słowa Loli wzruszyły widocznie Dynieckiego. Więc, aby dać wyraz swemu uczuciu, przygarnia ją do piersi, wyciska na ustach drżącej dziewczyny gorące piętno miłości i odpowiada:

— Lolu, ja panią również kocham.

Ona nie odwzajemniła mu się wprawdzie, lecz się nie broniła i nie odwracała twarzy; czuła się tak wzruszoną, że omal nie zemdlała i nie usunęła się na ziemię. Niepojęta rozkosz pierwszego, narzuconego

polsku, słowem do kulturalnej pracy narodowej, z pe ' wnością dałoby to lepsze rezultaty nawet w polityce, aniżeli taktyka dotychczasowa."

—*ski.*

BADANIA NAUKOWE.

Początki rozwodów małżeńskich.

„Bentham zadał sobie pytanie, czy człowiek zdołałby poruszyć ziemię z jej posad — odpowiedział na nie twierdząco, ale z pewnem zastrzeżeniem, mianowicie, że człowiek musiałby wprzódy znaleźć inny glob, na którym obrałby sobie stanowisko. Dla nauki o prawie taką drugą kulą ziemską są: etnografia i historya kultury. Nawet dzieje prawa rzymskiego, zbadane stosunkowo najlepiej, przedstawiają wiele luk. Jest ich jeszcze więcej w dziejach prawa różnych ludów. Póki zaś nie mamy pod ręką nieprzerwanego pasma faktów, dopóty nie możemy odkryć przyczynowego związku pomiędzy pewnem zjawiskiem, dostrzeżonem przez historyka, a poprzedniem, brakującem ogniwem. Wypełniamy te przerwy domysłami, ale taki twór wyobraźni tylko wtedy zyskuje mocną podstawę i zamienia się na hypotezę naukową, gdy w życiu dziejowem innych narodów, stojących na tym samym szczeblu, odkryjemy zjawisko, którego istnienie podejrzywamy w przeszłości badanego narodu. Nastręcza się pytanie: czy posiadamy prawo zapełniać luki w historyi jednego ludu faktami z życia innych; czy wolno nam na zasadzie tego, że pewne zjawisko istnieje u wielu narodów, wnioskować, że musiało także istnieć u tych, które nie zachowały o nim najmniejszego wspomnienia. Na to możemy odpowiedzieć tylko twierdząco."

Tak rozpoczyna M. J. Kuliszer swoją książkę, poświęconą rozwodowi i wogóle położeniu kobiety*). Wstęp ten daje pojęcie o duchu oraz naturze tego dzieła. Autorowi chodzi nietylko o przedstawienie prawa rozwodowego, istniejącego obecnie w krajach, przodujących cywilizacyi, ale także o wyprowadzenie socyologicznego rodowodu zwyczajów, spotykanych w odpowiedniej praktyce sądowej. Rozprawa ta jest więc przyczynkiem do historyi kultury ludzkiej, chociaż w sferze bardzo zacieśnionej, ograniczonej tylko do jednego zagadnienia.

Zasadniczy wątek wywodów M. J. Kuliszera przedstawia się jak następuje:

Formy rozwodu przekształcają się nieustannie w ciągu dziejów w miarę tego, jak zmienia się postać pożycia małżeńskiego oraz stosunek mężczyzny do kobiety. Autor odróżnia w rozwoju związku małżeńskiego dwa okresy; endogamiczny i egzogamiczny, to jest zaślubianie wewnątrz plemienia i zewnątrz niego. Poglądy jego na ewolucyą rodziny zdradzają wpływ Mac Lennana, i teorya rozwoju instytucyi rozwodowej została oparta na takiej, dzisiaj mocno zachwianej podstawie. Otóż w okresie panowania endogamii rozwód nie istniał. Małżeństwo było tam umową dobrowolną i czasową, małżonkowie po upływie pewnego terminu, na jaki zawarli związek, rozchodzili się — nie odnawiali kontraktu. Takie rozłączenie nie jest jeszcze rozwodem. Stosunek małżeński, istniejący w starożytnym Rzymie pod nazwą *usus*, przedstawia nam wyborny wzór czasowego obcowania małżeńskiego. Sądząc z przepisów, zamieszczonych w prawodawstwie Dwunastu tablic, trzeba przypuścić, że takie małżeństwo zawierano tylko na przeciąg jednego roku. Dopiero wtedy zamieniało się ono na związek stały, skoro żona nie skorzystała z przysługującego jej prawa nienocowania trzech następujących po sobie nocy w domu swojego małżonka. Rozłączenie, które następowało po upływie roku, było tylko rozejściem się, ułożonem z góry i oczekiwanem, a zatem odznaczało się inną naturą, niż rozwód obecny. Występuje on w dziejach wraz z egzogamią tj. poślubianiem kobiety z obcego plemienia i utrwala się na małżeństwie, zawieranem do końca życia. Atoli nie dość brać żonę z obcej grupy społecznej. Zwyczaj umyczki n. p., lubo opiera się na egzogamii, uniemożliwia istnienie rozwodu. Branka, porwana przez mężczyznę, jest jego niewolnicą, za której krzywdy nikt się nie upomni; mąż może znęcać się nad nią, nawet zamordować. Może on także ją odsunąć od swego łoża i nawet wygnać z domu, lecz rozwód jest nieznany. Instytucya ta ukazuje się dopiero wtedy, gdy mężczyzna za żonę zaczyna uiszczać „kałym", tj. kupuje ją; rozwija się zaś, gdy powstanie zwyczaj dawania wiana pannie młodej. W tych warunkach mężowi przysługuje, u ludów pierwotnych, prawo oddalenia żony, która mu zbrzydła, ale zarazem istnieją pewne czynniki, nakładające hamulec na jego samowolę i zmuszające go odwoływać się do jawności publicznej i poddać się wyrokowi instytucyi społecznych. Nastręcza się bowiem kwestya zwrotu „kałymu", uiszczonego za żonę, względnie posagu, który panna młoda wniosła mężowi! Powstają zwyczaje, później zaś przepisy, regulujące zwrot takiego mienia; mężczyzna tylko w pewnych wypadkach może żądać, ażeby mu oddano zapłatę, którą uiścił rodzicom żony. Ow nacisk ze strony władz publicznych stawał się tem większy. rozwód zaś coraz bardziej utrudniony w miarę rozwoju kultury materyalnej. Ze wzrostem bowiem bogactw, „kałymy" i wiana rosły i zaważały coraz bardziej na szali namiętności. Zwłaszcza zaś zwyczaj dawania córce wyprawy oddziałał mocno na instytucyą rozwodową.

W powyższym przebiegu mamy do czynienia z jednostronnem ukształtowaniem prawa rozwodowego. Mężczyzna użytkuje z tego zwyczaju dowolnie, kobieta zaś jest istotą bierną, która musi poddać się kaprysom swego pana. Co najwięcej, może się ona tylko bronić przeciw nadużywaniu przez męża tego przywileju i żądać, ażeby nie wyrzucał jej ze swego domu bez dostatecznych powodów. Sama zaś nie posiada prawa do opuszczania męża i wystąpienia w akcyi rozwodowej jako powódka. Zakon Mojżeszowy oraz odpowiednia praktyka u żydów dzisiejszych znają tylko takie jedno-

*) „Rozwod i położenie żenszcziny". Petersburg.

---

niespodzianie pocałunku była tak głęboką, że aż przygniatała i odurzała swym surowym ogromem.

Zapewne byłby Dyniecki wnet oswoił Lolę z pocałunkami i nauczył oceniać je wedle istotnej ich wartości, to jest, bez naiwnej grozy, lecz głosy dochodzące z kurytarza i brzęk talerzy w kuchni skłoniły go do zaprzestania zakazanej zabawki.

Wkrótce potem powróciła do jadalni Anulka w towarzystwie brata, Łasieckiego i Józefa.

Wzrok jej padł na Lolę i czytała przez chwilę w jej twarzy rozgorączkowanej, jak w książce z dala od oczu trzymanej, gdzie to z szarzejących liter myśli ułożyć nie można. Na nieme zapytanie Anulki odpowiedziała Lola lekkiem skinieniem powiek:

— Już się stało.

Anulka w zamian uśmiechała się serdecznie, co ma oznaczać:

— Bardzo mię to cieszy.

Lola odpowiada również uśmiechem, który wyraża:

— I mnie także.

Prawie równocześnie w przyległym pokoju ozwały się podniesione głosy szanownych rajców, między którymi wyróżniał się sentymentalny bas Szołomiejskiego, ujadanie Ranieckiego i duszenie się Klepki.

Poczem otwarły się drzwi i do jadalni wsunął się zgarbiony Szołomiejski, trzymany przez Borajskiego za połę długiego czarnego surduta:

— Otóż dziś nie będę — mówił — jak mi Bóg miły nie będę. Szkoda czasu i atłasu.

— Ależ zaczekajcie sąsiedzie, nie róbcie mi przykrości — prosił Borajski.

Szamotali się jeszcze chwilę, aż wreszcie Szołomiejski ustąpił, przyrzekając, że jeżeli nie dla dalszej narady, to przynajmniej na kolacyi zostanie.

Nie trzeba zdaje się, nadmieniać, że podczas wieczerzy bawiono się doskonale. Pierwsze kieliszki pogodziły zwaśnionych, następne skłoniły Ranieckiego do ujęcia uczonego sąsiada w ramiona i zwilżenia jego chudych policzków mokrymi wąsami, wreszcie trzecia dawka, wykreśliła z pamięci Szołomiejskiego wszelką urazę.

Lola w znakomitym była humorze. Śmiała się i trzepotała jak małe dziecko i tylko w przestankach kładła głębokie a słodkie sporzenia na dorodnych licach Dynieckiego.

Po kolacyi, gdy się goście rozeszli, była tak szczęśliwą, że aż przebaczyła macosze ranne przykrości. Podeszła ku pani Marcysi i rzekła:

— Niech się mama nie gniewa na mnie. Kto wie, jak ja długo jeszcze będę w domu rodziców?... więc pocóż mamy się gniewać?

Pani Borajska przyjęła serdeczną przemowę Loli chłodno i sztywnie. Podczas kolacyi zauważyła bowiem, że Dyniecki więcej nadskakiwał Loli: „kto wie, jak ja długo jeszcze będę w domu rodziców?... więc pocóż mamy się gniewać?...." podsunęło jej myśl, że ten piękny niegodziwiec musiał Loli coś takiego powiedzieć, z czego ona wywnioskowała, że wyjdzie za niego....

Pani Borajska gotową była każdej chwili wydać Lolę za mąż i życzyła sobie tego z całej duszy — byleby przyszłym jej mężem nie był on... ten ładny Dyniecki. On był dla niej za bogaty. Zresztą, on dla kogo innego był przeznaczony, nie dla Loli.

Myśląc o tem, podczas składania obrusa, rzucała pani Marcysia złowrogie spojrzenia i sznurowała usta.

VIII.

Rozpoczęła się dla Loli prawdziwa wiosna życia. Tęskniąc i kochając, zamęczała się rozkosznemi myślami. Zasypiając żegnała się z nim długo i widziała go dopóty w pobliżu, póki sen nie zdmuchnął z jej oczu rzeczywistości, a skoro tylko przebudziła się ze snu, on słodki uśmiechem powiadał jej dzień dobry.

Potem gdy się ubierała, nuciła jego piosnkę: „znam ja oczy takie czarne" — potem patrząc do lustra nie widziała swej twarzy, nie spostrzegła wogóle w szklanej szybie żadnego odbicia.. bo wzrok ma czasem tę właściwość, że tak daje się myśli opętać, iż zatraca na jakąś chwilę zdolność widzenia. Potem marzyła przez cały ranek, udając, że zajmuje się jakąś pracą; potem czekała, aby wieczór nadszedł jak najprędzej. Obecnie Lola była w ciągłych ocze-

stronne stosowanie rozwodów. W jednej z ksiąg Mojżesza znajdujemy ustęp, głoszący, że mąż, który żyjąc z żoną, poweźmie odrazę ku niej, lub spostrzeże pewne wady, może oddalić ją ze swego domu. Przywilej ten służy tylko jednej stronie, bo żona nie posiada żadnych praw. Ustawa rozwodowa żydów wymaga więc, ażeby mąż z własnej woli rozłączał się z żoną, bo jeżeli oświadczy, że został zmuszony do takiego czynu przez namowę lub pod wpływem przymusu, rozłączenie jest nieważne. Zwyczaj każe, ażeby doręczono żonie akt rozwodowy, przytem powinna ona wiedzieć, co bierze po rąk swoich. Dlatego przed wręczeniem zawiadomienia o odprawie (bo rozwód u żydów posiada właśnie taki charakter), mąż powinien wyraźnie i głośno powiedzieć byłej małżonce: to twój rozwód. Czyn jest nieważny, jeśli mąż zaniedbał zawiadomić żonę, co jej wręcza, lub użył wyrażenia dwuznacznego. Dokument uchodzi za doręczony nawet w tym wypadku, gdy zona odmówi przyjęcia, lecz mąż zdoła wygłosić odpowiednią formułkę prawną i wrzuci akt do jej pokoju, lub położy go u jej nóg na ulicy. Wszystko to musi odbyć się w obecności świadków. Szczegóły te posiadają tu dla nas względnie małą wartość; najważniejszem jest to, że rozwód stanowi przywilej męża, samowolnie przezeń stosowany. To prawo nie przysługuje kobiecie. Dokładniej mówiąc, powinniśmy powiedzieć, że nie przysługiwało ono dawniej, bo z biegiem czasu życie wprowadziło pewne praktyki, umożliwiające żonie korzystanie z rozwodu. Może ona wystąpić jako powódka i domagać się rozłączenia, jeśli dowiedzie, że mąż ją zaniedbywał w ciągu pół roku, jest dotknięty niemocą lub chorobą, wzbudzającą wstręt powszechny itd. Atoli forma doręczenia rozwodu pozostaje dawną: sąd, uwzględniwszy życzenie żony, używa pewnych środków — przymusu moralnego — względem męża i zniewala go do dania odprawy żonie.

Rozwód, o ile istnieje w dzisiejszem chrześciaństwie, jest instytucyą służącą na równi obu stronom. Jakim sposobem powstał taki zwyczaj, tak odmienny od prawa Mojżeszowego? Niema wątpliwości, że kościół nie stworzył tej obustronności, ale skorzystał z tego, że już istniała, i wybrawszy ją, otoczył swoją powagą. Autor podnosi to zagadnienie w swojej rozprawie, ale go nie rozwięzuje. Przynajmniej nie dał on wyraźnego rozwiązania. zdaje się jednak, że myśl jego, wypowiedzianą dość bezładnie, można przedstawić w sposób następujący: W społeczeństwie pierwotnem istniało obok siebie w tym samym czasie parę rodzajów związku małżeńskiego: endogamiczny obok egzogamicznego. Mąż był panem tylko swojej prawowitej żony, która pochodziła z obcego plemienia: zapłacił za nią „kałym,“ więc rozkazywał jej lub odprawiał, gdy mu zbrzydła. Stosunek prawny był jednostronny: mąż posiadał wszelkie przywileje, żona żadnego. Tymczasem kobieta z tego samego plemienia, oddając się mężczyznie, zatrzymała zupełną swobodę działania. Ich obcowanie małżeńskie mogło ustać każdej chwili, gdy któraś ze stron sprzykrzyła sobie wspólne pożycie. *Usus* rzymski jest związkiem małżeńskim, który powstał na takiej podstawie endogamicznej. Wzory te oddziaływały na żonę prawowitą, która widząc swobodę swojej współzawodniczki, usiłowała wywalczyć sobie podobne prawa. Kościół poparł swoją powagą te dążenia. Rozwód z instytucyi, która służyła jedynie mężczyźnie, przekształcił się na urządzenie, do którego obie strony zaczęły posiadać jednakowe prawo.

Streściliśmy zasadniczy wątek wywodów M. J. Kuliszera. Powyżej nazwaliśmy pracę jego przyczynkiem do historyi kultury ludzkiej — dodajmy: przyczynkiem publicystycznym, tj. pisanym bez ścisłowości naukowej. Autorowi chodzi o wykazanie rodowodu pewnej instytucyi prawnej, ale fakty, na których oparł swe wnioski, pochodzą z drugiej ręki Nie źródłowe prace etnograficzne, ale książki Hellwalda, Westermarcka i in. dostarczają mu materyału na poparcie twierdzeń. Skutkiem takiej przewagi pierwiastku publicystycznego, książka odznacza się w niektórych ustępach bezładnością wykładu: wyobraźnię autora przykuwa do siebie niekiedy fakt uboczny, niczem nie związany z podstawową ideą jego wywodów, i rozpoczyna się wyjaśnianie szczegółów, luźne, dorywcze, poparte faktami, wziętymi w pośpiechu z pierwszego pod ręką źródła. Między innemi, w jednej z takich wycieczek M. J. Kuliszer poddaje rozbiorowi mit o Aresie, Hefestosie i Afrodycie. Hefestos, bóg, opiekujący się rzemiosłami, specyalnie zaś kowalstwem, zastawszy żonę swoją śpiącą w objęciach Aresa, przykrywa wiarołomną parę siecią z metalów, zwołuje bogów, żeby wydali sąd nad przestępcami i nie oswobadza winowajcy, póki nie otrzymał rękojmi, że zwrócą mu „kałym,“ uiszczony za Afrodytę. J. A. Kuliszera pociągnęła ta opowieść. Przypomina on w odpowiednim ustępie u Hezyoda, że kuźnie w okresie bohaterskim Grecyi budowano po za granicami wioski i że były one czemś w rodzaju naszych karczem. Pisarz grecki ostrzega lekkomyślne osoby, ażeby nie uczęszczały do tych kryjówek rozpusty. Podobną rolę odgrywały kuźnie podczas wieków średnich. Podróżny mógł tam nietylko podkuć konia, ale także wypić kieliszek trunku. Mieszkanie kowala było przytułkiem rozpusty i służyło za miejsce schadzek miłosnych. Taki pierwotny charakter warsztatu kowalskiego uwydatnił się w micie greckim: wiarołomstwo odbywa się w mieszkaniu boga-kowala! Objaśnienie to jest prawdopodobne. Atoli M. J. Kuliszer posunął się jeszcze dalej, bo usiłuje dowieść, że rozpusta w kuźniach jest przeżytkiem po wcześniejszym jeszcze okresie, kiedy ślub legalny odbywał się w warsztacie kowala. Autor popiera swój wniosek, bardzo ryzykowny, o ile ma on posiadać zastosowanie powszechne, strofkami z weselnych pieśni rosyjskich. W jednej śpiewają:

„...Idzie kowal z kuźni,
Niesie z sobą trzy młoty.
Kowalu, kowalu, wykuj mi wianek!“ itd.

Druga głosi, że „na wyspie Bujanie są trzy kuźnie, trzech kowali uderza po trzech kowadłach. Nie kujcie, kowale, białego żelaza, a przykujcie do mnie młodego parobczaka!“ Przytoczone ustępy mają świadczyć, że ongi, w okresie, gdy wykradano żony z ościennych plemion, obrzęd ślubny polegał na tem, że parę młodą skuto istotnemi łańcuchami. Jeszcze dzisiaj w plemieniu timanów (Afryka) prowadzą młodą parę do kuźni, kowal wykuwa w jej obecności wiąza-

---

kiwaniach. Rano czekała najpierw, aby Anulka jak najprędzej poszła sobie do szkoły, a ją zostawiła w spokoju, potem aby ta wróciła jak najprędzej ze szkoły i wysłuchała wszystkiego cierpliwie, co jej w ciągu czterech długich godzin na myśl przyszło — dalej czekała, żeby obiad skończył się jak najprędzej, żeby wieczór upłynął jak najszybciej i żeby znów nastał wieczorny spokój. Najsmutniej i najwolniej płynęły dni owe, w których wiedziała napewno, że Dyniecki nie przyjdzie. Natomiast wtorki, czwartki i soboty mijały nader spiesznie. Dyniecki przychodził po południu i po próbie zostawał najczęściej na kolacyi. Właściwie prób tych nie trzeba już było ponieważ wszyscy amatorzy umieli swe role doskonale, że jednak mogły one stanowić powód do częstych wizyt, więc dla tego uważała je Lola, a za nią Anulka jako niezbędne.

Wszelako nawet te tak gorączkowo wyczekiwane dni, nie przynosiły biednemu dziewczęciu zupełnej szczęśliwości. Dyniecki przychodził wprawdzie, więc mogła się weń godzinami wpatrywać, słuchać jego głosu, dotknąć się jego ręki podczas witania się i przy pożegnaniu... ale na tem i koniec. Zdawało się jej, iż ma mu tyle do powiedzenia, tyle do wysłuchania z ust jego, że i dziesięciu godzin z rzędu nie tarczyłoby na wyczerpanie tematu — tymczasem macocha uwzięła się i na krok bawialni nie opuszczała. Gdy Dyniecki odchodził wieczorem odprowadzała go ze światłem w ręku do przedpokoju, tak, że nawet z tej ostatniej chwili nie mogła Lola skorzystać. W ciągu ostatniego tygodnia raz jeden zaledwie zostali sam na sam, nie dłużej nad pięć minut, lecz i w tym czasie nie mogła Lola swobodnie z nim pomówić, gdyż zamknął jej usta pocałunkiem takim gorącym, że wszelka myśl i chęć do zwierzeń za dziesiątą pierzchnęła górę...

I właściwie nie wiedziała Lola, co się z nią obecnie dzieje. Byłaż narzeczoną Dynieckiego, czy nie? — Nie wiadomo. Czy będzie jego żoną? — Nie wiadomo. A czyż ją przynajmniej kocha ten piękny chłopczyk na prawdę? No, tak... raz powiedział, lecz odtąd milczy i tylko całuje — a więc czy naprawdę kocha, to również nie jest wiadomem, przynajmniej o tyle, że w takich sprawach stokrotne zaklęcia nie są nigdy zbyteczne dla roztęsknionego serca.

W pierwszych dniach lutego miało się odbyć przedstawienie w „Gwieździe“. Do tej szczęśliwej niedzieli wzdychała Lola bezustanku. Za kulisami nie będzie macochy... za kulisami ciemniej jest niż w pokoju, a wszyscy grający głównie sobą zajęci.... toż to nagada się z nim tej niedzieli! Dowie się, kiedy przyjdzie oświadczyć się ojcu, kiedy da na zapowiedzi i kiedy będzie wesele...

Ach, cóż to za piękne słowo: „wesele“. Potem już smutku nigdy nie będzie, tylko sama zabawa, radość, samo prawdziwe szczęście.

Trzy tygodnie mijały właśnie od imienin. Franek Smolarz podziękował w tym czasie Borajskiemu za miejsce, jak się należało, to jest wedle przyjętego w cechu zwyczaju na czternaście dni naprzód i gotował się skrzętnie do wyjazdu.

Zaczął od tego, że najpierw wyspowiadał się i ulżył grzesznej duszy, która w ostatnich czasach, Bóg jeden wie dla czego, bardzo była rozżalona. Po spowiedzi zrobiło mu się zaraz weselej. Wziął tedy od starego urlop na jeden dzień, wynajął furę i pojechał do Zapłotka. Miał tam przecież w spuściźnie po matce chatkę i morg gruntu, z którym trzeba było jakiś porządek przed wyjazdem zrobić, zwłaszcza, że dzierżawca niesumiennie czynsz opłacał.

W drodze przemyśliwał Smolarz:

— No cóż?... chacinę i ogród muszę sprzedać, bo kto tu z tym nieuczciwym człowiekiem dojdzie do ładu, jak mnie na miejscu nie będzie? Nie ustąpi się i któż mu co zrobi. Może się potem procesować? adwokata i stemple płacić, na terminy stawać? Co mi tam! Sprzedam więc chacinę i ogród i wezmę tysiąc dwieście guldenów, muszą mi dać tysiąc dwieście, a jakże... bo grunta poszły teraz w górę, a ogród mój taki, że drugiego w Zapłotku podobnego nie ma. Za mniej nie sprzedam jak za tysiąc dwieście. Zresztą... no cóż... gdyby organista bardzo prosił, to jemu jednemu dał-

dło żelazne i łączy małżonków. J. M. Kulischer z tym zwyczajem zestawia fakt, że w pewnej miejscowości, leżącej na pograniczu Szkocyi, istniała kuźnia, w której do r. 1856 zawierano tajne związki małżeńskie. Dla udowodnienia takiej tezy trzeba dać coś więcej, niż parę faktów, z których pewne posiadają inne źródło pochodzenia: karczma szkocka służyła za świątynię tylko dlatego, że leżała na pograniczu.

Ż.

LITERATURA I SZTUKA.

Akordy jesienne.

XIII.

Oto dusza ma, jak więzień, wyswobodzon z poza krat,
Rzuca pęta swa cielesne i w jesienny spieszy mrok
Na obszary gdzieś dalekie, w lot przebiega cały świat,
W lot ogarnia wsie i miasta, w jeden ciemny zbite tłok:

I tak błądząc, w swej podróży do poziomych zajrzy chat,
To w pałacach górnych spocznie, to w zaułki zwróci
[krok:
Noc uśpiła ich mieszkańców — jakby spali już od lat.
Jakby byli dziś podobni nie do żywych, lecz do zwłok.

Dziwny spokój... I uchodzi senna dusza poza próg....
Patrzy w przestwór... Jak daleko, jak wysoko sięga dom
Tego świata, nikt nie czuwa?... Błogosławić takim
[snom!

Patrzy... patrzy... Nie!... Ten przestwór nie uśpiony!
[w szerz i w wyż
Wielkie widmo go wypełnia i w odblasku mglistych
[smug
To potrząsa krwawą chustą, to olbrzymi wznosi krzyż.

XIV.

Cud nad cudy! Wielkie widmo, duch uśpionych
[w dole ciał,
Z przedświtową mgłą się zlewa, a z jej wiewnych,
[srebrnych chmur
Jakieś pasmo się wyłania, jakiś długi ciemny wał,
Jak z oddali gdzieś widziany tajemniczy, straszny bór.

Las birnamski czyż się ruszył?... To postaci żywych
[sznur
Idzie — płynie — ach! bez końca... Cały świat, co
[dotąd spał,
Snać się zbudził i w przestrzeni niezmierzonych
[mgławy dwór
Idzie — płynie — ach! bez końca, jak wyrwany
[z więzów szał.

Zamęt ślub wziął z dysharmonią: szczęk oręży, pła-
[cze, gwar,
Fale pieśni melodyjnych, kaznodziejskich gromy słów,
Poszept modłów, mlask dyscyplin i lubieżnych syków
[żar...

Drży powietrza każdy atom — tak, jak spojrzeć —
[w szerz i w wyż,
Gdy przed okiem mojej duszy ten przebarwny sunie huf,
Potrząsając hustą krwawą, lub olbrzymi wznosząc
[krzyż.

XV.

Patrzy dusza osłupiała: tu z trzepotem skrzydeł burz
Kuruingów mkną zastępy, czy Attyla, wichrem gnan;
Tam z z liljami w chudych rękach lub na czołach
[z wieńcem róż
Rozśpiewane tłumy dziewic zaścielają śniegiem łan.

Planetarne tutaj drogi kreślą mędrce. przyjście zórz
Dla piwniczych ciemnic ziemi wieści prorok, a tam
[z ran
Stygmatycznych krew ocieka, tutaj kaci ostrzą nóż,
Lub stos niecą, a tam nagość w rozpasany idzie tan.

Zamęt ślub wziął z dysharmonią... Ach! uciekać
[w ciała mir!
Ale dusza jak zaklęta: wszystek słuch swój, wszystek
[wzrok
Szle w tych linij, barw i szumów, w tych akordów
[dziwnych tłok...

Patrzy... słucha dusza moja, aż ten chaos, aż ten wir
W jeden zgodny hymn się zlewa, brzmiący w okrąg —
[w szerz i w wyż:
Jednem stał się dźwięk z jękami, jednem z krwawą
[chustą krzyż...

XVI.

I porwana pieśnią życia, leci dusza, niby ptak,
Niby żóraw, ze swym kluczem śród powietrznych
[mknący dróg —
Płynie z tłumem z lutnią w ręku, zapatrzona w wielki
[znak,
W krwawą chustę, w krzyż olbrzymi, ponad ziemski
[wzniesion bróg.

Płynie z tłumem, gdzieś bez końca, aż się zgubią
[tam, gdzie szlak
Nieb jesiennych w świt się stroi, w ten jutrzniany,
[srebrny smug;
Gdzie na krawędź ciemnej ziemi strzela zorza, jak
[ten krzak —
Gorejący krzak pustynny, w którym Bóg przemawiał —
]Bóg!...

Jak się ranna mgła rozwiewa, tak i sen się rozwiał
[mój...
W okna moje dzień zagląda, chłodny, jasny, pełny
[dzień —
Na ulicach wre jak życie pod działaniem jego tchnień.

Do codziennych zajęć wraca duch, co widział wieków
[znój
W niezmierzonej świata kuźni, ponad którą — w szerz
[i w wyż —
Krwawej chusty szmat powiewa lub się wznosi wielki
[krzyż...

Jan Kasprowicz.

OBRAZY
Wilhelma Kotarbińskiego
na wystawie poznańskiej.

Na wystawie naszej w teatrze polskim mamy obecnie cztery obrazy Wilhelma Kotarbińskiego, wychowańca petersburgskiej „Chudożnej akademii“

Przypatrzmy się im kolejno:

„Orgia rzymska“ obraz dużych rozmiarów, przedstawia rozpasane uciechy rzymian, odbywające się w komnatach oświetlonych światłem lamp i kadzielnic a bliżej widza grupę witającą nadjeżdżających łodzią nowych biesiadników.

---

bym już za tysiąc sto pięćdziesiąt, bo to porządny człowiek. Z tych pieniędzy odłożę tysiąc dla Anulki, a sobie na drogę wezmę stopięćdziesiąt. Mnie więcej nie potrzeba. Z tem, co już uskładałem, będzie miała Anulka tysiąc dwieście reńskich posagu. Hm... piękna to sumka. Nie każda dziewczyna na świecie ma taki posag. Choć więc jest sierotą, to przecież nie jest jedną z najbiedniejszych. Może się jej jaki porządny człowiek trafi, i nim jeszcze zda egzamin na nauczycielkę, już jej tego nie będzie potrzeba. Czemu nie? Sprzedam więc chacinę i ogród, pieniądze oddam do kasy i poproszę Borajskiego, żeby co miesiąc wyjął tyle, ile będzie potrzeba, jeżeli oczywiście nie zarobię i nie przyszlę na jej utrzymanie z tamtych krajów. A jak oddam pieniądze do kasy i z Borajskim pogadam, spakuję rzeczy do kuferka i pojadę sobie z Panem Bogiem. A potem — potem niech już panna Lola idzie za Dynieckiego. Co mi tam!

Jak pomyślał, tak zrobił. Zajechał do Zapłotka, pogadał z organistą, potargował się trochę, obniżył cenę „chaciny“ i ogrodu do tysiąca zł i zobowiązał kupującego, iż do tygodnia przyjedzie do Kołczanowa z pieniędzmi, celem spisania kontraktu.

VIII.

Po tak pomyślnem załatwieniu sprawy wracał wesoły do domu, rozważając po drodze, jak to się Anulka ucieszy, gdy jej powie, że jest bogatą dziewczyną.

Anulka była jego dumą. Ponieważ sam szkół nie mógł ukończyć, mimo, że go natura i zdolność ku wiedzy ciągnęły, więc chciał, aby przynajmniej ona była uczoną. I na jej naukę łożył wszystko, co zarobił, z wyjątkiem małych oszczędności, odkładanych sumiennie co miesiąca na posag dla niej.

Po drodze witał znajomą okolicę. Pokłonił się Rudemu i przypomniał mu, jak to co wiosny brodził po jego pienistych mętach, roztłaczając białą plamę bosemi nogami; powitał także z daleka chatkę rodzinną i uśmiechnął się do niej z dumą, jak gdyby się przechwalał:

— Ty stanowczo nie wiesz, gdzie ja teraz jadę. Ho, ho, daleko, za góry, za lasy, aż do Pragi. A jak ja tu bosy biegał dokoła, to czy ja wówczas wiedział, że pojadę kiedyś na koniec świata?... co?....

Tak samo mniejwięcej mówił do figury świętego Andrzeja przed Kozową, do wielkiego dęba, przy którym zrobił pierwszy popas, idąc po zarobek do Kołczanowa i zjadł pieczoną kurę... Wspomnienia rozrzewniły go, pocieszyły i natchnęły zapałem do pracy na szerokim świecie. Dojeżdżając do Kołczanowa wmówił w siebie, że bardzo dobrze się stało iż Lola idzie za Dynieckiego. Gdyby było inaczej, to kto wie, czy wybrałby się kiedy za granicę. A tak, jej stosunek do Dynieckiego położył — od razu kres wszelkim niedorzecznym mrzonkom.

Nie przypuszczał Franek-Smolarz, snując w drodze podobne myśli, że nie zawsze człowiek jest panem swej woli, że czasem jedna godzina podobna do drugiej, jak niebo do ziemi i że niekiedy zachodzą takie wydarzenia, iż to, co nam się zdaje w obecnej chwili mrzonką, niedorzecznością, dziwnem czemś, o sto mil od nas odległem, za pół dnia stać się może rzeczywistością, realną prawdą i jednym zamachem burzy nasze plany, ustawiane długo i uważnie, jak pałace z kart do grania.

Taką właśnie niespodziankę gotował mu zagadkowy palec losu za przybyciem do domu.

Lola nie mogąc doczekać się Dynieckiego, który przyjść miał na ostatnią próbę, wybiegła na miasto. Wyjście swoje upozorowała drobnemi sprawunkami. Miała także wstąpić do szkoły wydziałowej po Anulkę, gdzie co poniedziałku odbywała z koleżankami korepetycye z arytmetyki i gramatyki niemieckiej.

Tymczasem Dyniecki, zamiast wałęsać się swoim zwyczajem po rynku, wyszedł za miasto na przechadzkę i wrócił inną stroną, tak, że zdążając do Borajskich nie potrzebował przechodzić przez rynek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Obraz ten ma wiele zalet kompozycyjnych, pojedyńcze grupy i figury malownicze w układzie i pełne uroku. Rysunek przeciętnie dobry, czuć w nim jednak brak finezyi.

Najsłabszą stroną obrazu jest koloryt. W ogólności wywiera on wrażenie szare i brudne; światło nie świeci, a tam, gdzie widać usiłowania wyszukania prawdziwego efektu światła na grupach i figurach, znajdujących się w przestrzeni między oświetleniem sztucznem a dziennem, — pierwszoplanowe figury malowane są w oświetleniu pracownianem, modelowane brązowym uniwersalnie użytym sosem. Najgorzej traktowana jest martwa natura jak łódź, części architektoniczne i rośliny. W traktowaniu (technice malowania) tych rzeczy nie czuć materyału przedmiotu, — mury są z malowanych desek, metalowe okucie łodzi, nie wywiera wrażenia metalu, a kwiaty i rośliny wydają się fabrykatem papierowym. Mocno występuje też perspektywiczny błąd w rysunku łodzi. Znajduje się w niej grupa złożona z czterech figur, tworzących szereg w takiem miejscu, w którem z rysunku łodzi biorąc miarę, zaledwie dwie figury umieścić by można.

Przyczepiona do obrazu tabliczka mówi o złotym medalu, którym ten obraz premiowano; przemilcza jednak przez kogo i gdzie?

Rosyjska akademia sztuki w Petersburgu rozdaje medali bardzo wiele, a mają one wartość i powagę orderów kotylionowych. Dzisiaj, jedynie medal uzyskany w paryskim salonie, świadczyć może o prawdziwej zasłudze i wartości nagrodzonego dzieła. Protekcya, znajomości osobiste, stosunki a nawet i interes, tak się rozpanoszyły w przybytkach sztuki, że spowodowały w monachijskiej „Künstler-Genossenschaft“ Secessyę, a wartość medali obniżyły do zera. Obecnie złote świecidełka nawet wprost kupować można dla robienia sobie reklamy, co się też przed trzema laty — i to z francuskim medalem (Académie contemporaine) — jednemu z głośnych malarzy lwowskich udało.

Obraz drugi, zatytułowany „Śmierć Messaliny“ przedstawia wykonanie wyroku cesarza Klaudyusza, który swą wiarołomną żonę wyzwoleńcom Pallasowi i Narcyzuszowi zamordować kazał.

W obrazie tym, jak i w poprzednim, rysunek średnio dobry, kompozycya jednak mniej szczęśliwie obmyślona a koloryt brudny. — Leżąca figura Messaliny wydaje się być niezmiernie długa, a to wrażenie spowodowane jest brakiem modelacyi draperyi, pod którą nie widać form ciała; draperya sama w surowym, czerwonym kolorze niedostrojona do ogólnego tonu obrazu, odskakuje i niemile razi oko. Martwa natura pobieżnie traktowana, bez obserwacyi.

Obraz trzeci mniejszych rozmiarów przedstawia wnętrze świątyni rzymskiej. Na pierwszym planie ołtarz, a u stóp jego spoczywa Augur o rozmarzonym obliczu. Obok niego bachantka z wyrazem zwierzęcej lubieżności i rozpusty. Grupa skomponowana malowniczo, rysowana poprawniej; obraz cały efektowniejszy i lepszy w kolorze od poprzednich, pomimo że w brązowym tonie głębi nie czuć przestrzeni i powietrza.

We wszystkich trzech powyżej określonych obrazach, powtarza się jeden i ten sam efekt: głębia obrazu ciemna, a pierwszy plan oświetlony. Jestto najstarszy i najłatwiejszy sposób wydobycia efektu przestrzeni. Świadczy on o braku pomysłowości, niewyzwoleniu się z akademickich wpływów i rutyny, co nie pozwala wznieść się na wyżyny indywidualnej twórczości.

Czwarta praca artysty tego nazwana „Zabawy domowe“, malowana akwarelą, jest raczej nie obrazem, ale projektem dekoracyjnego malowidła ściennego. Traktowana jako taka ma wiele zalet, — jako obraz, jest nieprawdziwa i surowa w kolorze.

Patrząc na prace W. Kotarbińskiego musi się przyjść do przekonania, że artysta wziął sobie za wzór Siemiradzkiego i tegoż naśladuje. Taką drogą postępując, zabija się talent i indywidualność, — pierwowzoru nigdy się nie wyprzedzi, a zwykle i nie doścignie.

W. Skibiński.

„Na kresach lasów.“[1]

Z treścią niniejszej książki mało są niezawodnie obeznani czytelnicy polscy. Winną tu do pewnego stopnia była krytyka nasza, która, niespodziewając się znaleść wśród Jakutów i Tunguzów nikogo, coby jej przypominał jakąś współczesną „znużoną duszę“ jakiegoś Płoszowskiego, Gramm'a, lub inne, go nowożytnego pseudo-Hamleta, uosabiającego „tragizm autoanalizy“, — potraktowała rzecz całą niedbale, żartobliwie niemal. Nic tam „Na kresach lasów“ nie mogło zaimponować krytyce naszej. Co tam kogoś może obchodzić, że Jakut często głodem mrze i ginie od ospy czarnej, że tam, na tundrach, mogą być ludzie z innego świata, którym przychodzi głupia myśl do głowy krzewienia cywilizacyi zachodniej wśród dzikich plemion Azyi północnej, że ludzie ci, nawet wobec dziczy jakuckiej, poczuwali się do pewnych obowiązków i nie mogąc w niczem bytu ich poprawić, doznawali uczucia „niepokoju i zawstydzenia jakie zwykle ogarnia stojącego zdala od ogólnych trosk i pracy ogólnej.“ Kto słyszał coś podobnego, żeby człowiek się ma twił i udręczał tem: „że jest jak ta gałązka ze szczytów strącona na dół, zmuszona patrzeć na mozolne życie i ciężki trud korzeni i — więdnąć bezsilnie?“ Co to za tragizm „stać zdala od trosk ogólnych i nie módz wysiłków swoich sprzęgnąć z wysiłkami istot nam podobnych?“ Alež to próżne suszenie sobie i innym głowy! Czyż cierpienia tego rodzaju mogą się mierzyć z cierpieniami tych wszystkich większych i mniejszych „mistrzów“ autoanalizy? Jakież mogą wreszcie być cierpienia tam, gdzie nie ma ani buduarów wonnych i zamieszkujących je „sfinksów,“ ani przedmiotów, mogących obudzić nienasyconą chęć użycia lub pragnienia sławy ani też złożonej cywilizacyi — jej po-

[1]) Wacław Sirko: „Na kresach lasów“. Opowiadanie. Petersbug 1894.

Uwaga Red. Pewne niedomówienia i niejasności powyższego artykułu mają swe źródło w tem, że artykuł ten przeznaczony był pierwotnie dla jednego z czasopism wychodzących pod cenzura rosyjską. Krytykowi chodziło głównie o skreślenie psychologii wygnańca na podstawie osobistego doświadczenia.

NAUCZYCIEL.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

przez

M. WITOROZA.

— Padam do nóg panu dziekanowi! — rozległ się głos w wagonie drugiej klasy pociągu, wyjeżdżającego z Podgórza do Wadowic, gdy doń elastycznym krokiem wskoczył mężczyzna lat średnich

— A, co za miła niespodzianka! pan profesor tu? – zawołał przybyły i dodał zwracając się ku peronowi: No, chodźże, zuchu, bo pociąg ci ucieknie.

Ostatnie słowa zwrócone były ku malcowi lat około 10, o nizkim wzroście, lecz twarzyczce rumianej i minie czupurnej, który pod jedną pachą dźwigał ogromnych rozmiarów zielone, podłużne pudło z blachy, pod drugą zaś — drewnianą kasetę.

— To mój Jurek — rzekł przybyły, gdy chłopak, z biedą wygramoliwszy się, złożył swoje ciężary i zamaszysty składał ukłon. Dokądże profesora para niesie?

— Do Wadowic. A pana dziekana?

— Także do Wadowic. Składa się przepysznie. Jedziemy razem.

Mówiąc to, dziarskim uściskiem ręki powitał profesora, złożył letni płaszcz i parasol na ławce, zdjął kapelusz i wygodnie się rozsiadł. Była to osobistość znana w towarzyskich i uczonych kołach Krakowa. W sile wieku, czerstwej twarzy, o energicznych rysach i ruchach, z bujną na głowie czupryną, z nosem szerokim i wybitnem czołem, wyglądał równocześnie, jak przemysłowiec, hreczkosiej i minister. Był dziekanem uniwersytetu jagielońskiego.

— To pan profesor pewno w gościnę do znajomych?

— Tak, a pan dziekan?

— W trojakim celu. Odbyć lekcyę z moim malcem, dać mu sposobność odwiedzenia ciotki w Wadowicach, a wreszcie...

— Jakto jedzie pan do Wadowic z malcem na lekcyę?

— Nie inaczej. Ten żuczek zna już wszystkie zabytki Krakowa tak, jak jego ojciec. Zresztą Wadowice mają to, czego Kraków nie ma: góry, górali, rośliny i powietrze. Patrz pan, już porozkładał swoje zasuszone zioła i przyrządy do obliczania wysokości gór. a biega to od okna do swoich skarbów, jak kulka rtęci. Jurek, nie wychylaj się! Powiedz panu profesorowi, co ci zadałem na lekcyę do Wadowic?

Malec susem przyskoczył do okna i stanął z miną napoleońską; włosy na główce stały mu, jak u jeża, a oczy z pod namarszczonych brwi świeciły się. Rzekł z komiczną powagą:

— Mam zapamiętać położenie Wadowic, ażeby po powrocie narysować plan... Mam zapamiętać, jak wyglądają i ubierają się tam ludzie, których zobaczę na targu, i co będą sprzedawali... Mam ze Stasiem zrobić wycieczkę na Gorzeń, zapamiętać, co tam zobaczę! zbierać rośliny i obliczyć wysokość tej góry nad poziomem morza.

A widziałeś morze?

— E, nie, bo najpierw trzeba Galicyę poznać, a potem dalej.

— Ale na Gorzeni są lasy, a w lesie nie boisz się niedźwiedzia?

— Pan żartuje ze mnie, a ja się nie dam zjeść w kaszy, jak szwed.

Wybuch śmiechu obu panów nastąpił po tych słowach, wymówionych tak stanowczym tonem, że nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Na skinienie ojca malec odszedł do swego zielnika, a dziekan mówił dalej:

— Trzecim celem jazdy mojej jest odwiedzenie kolegi i przyjaciela ze szkolnej ławy. Co roku odwiedzam przynajmniej jednego kolegę szkolnego. Z tym nie widziałem się lat 20. Po powrocie z zagranicy, przypadkiem dowiedziałem się, że jest nauczycielem gimnazyalnym w Wadowicach.

— Jak się nazywa?

— Bielusz.

— Znam, znam go. Niech to pana nie dziwi. Wszak byłem ongiś przez rok cały suplentem w Wadowicach, zanim udało mi się przenieść do Krakowa na posadę. Ale ten Bielusz — to dziwak skończony.

— Co pan mówi?

— Tak, tak. W ogólności rzecz godna

nęt i subtelności, jej nadczułej samowiedzy swego „ja,“ namiętnych rozpędów ku lepszemu, szałów niemocy i upadków wzniosłych; kiedy tam ludzie żywią się śmierdzącą rybą i kałem reniferowym, ks ążek nie widzą całemi tygodniami i latami, wzruszeń artystycznych nie doznają i żyją długie, ciężkie lata bez wrażeń i promieni rozbudzonej myśli, w mroku wieczystym. w przytłumieniu ducha i w apatyi?

Tak, zapewne!.. Ktoby jednak chciał się przekonać, jakie życie rodzi martwe otoczenie w duchach krzepkich i nieskarlałych, jakie blaski rozwidniają im noc ponurą i jak się w pomroce duchy te poruszają, niech przejrzy uważnie opowiadanie Sirki.

Współczucie dla ludzi, zmuszonych istnieć w warunkach, nie odpowiadających skali ich wymagań cywilizacyjnych, gdzieś wśród gromad ludzkich, mało uspołecznionych, w otoczeniu nietkniętem jeszcze przez kulturę współczesną, dość zabawnie się niekiedy wyraża. Częstokroć podobnych rozbitków losu żałujemy przedewszystkiem dla tego, że są wystawieni na prywacye i ograniczenia życiowe, redukujące „używanie“ do bardzo skromnych rozmiarów i niepozwalające na należyte zaspakajanie elementarnych potrzeb bytu, nie mówiąc już o potrzebach wyższych. Ubolewamy więc nad nimi, że nie pijają kawy czarnej po obiedzie, nie czytują dzienników najświeższych itp. Następnie domyślamy się, że ich „zjada“ tęsknota po ludziach i przedmiotach, tworzących niegdyś środowisko z którego wyszli. Czem jednak jest owa „tęsknota“ i jak ona kogoś „zjada“? — Tego dokładnie nie wiemy. U nas tęsknota zazwyczaj z nudy wypływa: znudzi nas otoczenie, przesycą wrażenia, coś nie odpowie wymaganiom naszym, więc tęsknić zaczynamy do bytu innego, uczuwamy niesmak, uprzykrzamy sobie rzeczywistość i... przenosimy się w zaświaty. „Na kresach lasów“ nęka co innego. Oto Paweł taki, zmuszony żyć wśród Jakutów, tęskniący i po ludziach i po przedmiotach, z któremi się rozstał, gnębiony jednostajnością wrażeń i niezaspakajający elementarnych potrzeb cywilizowanego człowieka, jakoś daje radę sobie z tem wszystkiem. Nędza materyalnego istnienia nie martwi go bardzo: znosi on wytrwale wszelkie braki życia organicznego i z tej strony nie widzi dla siebie niebezpieczeństwa. Przyzwyczaja się powoli do obcego otoczenia; zarówno do ludzi, nic wspólnego z nim nie mających, jak i do natury—obcej mu, wrogiej prawie. Stara się nawet wyszukać w tem otoczeniu coś takiego, coby można było umiłować, z czem można byłoby wejść w ściślejszy, sympatyczniejszy stosunek. *Namawia* siebie na to życie upośledzone i *zgadza* się na nie i to nie z powodu jakiejś tępej bierności, rezygnującej z czegoś lepszego, ale świadomie, w poczuciu tych obowiązków, jakiemi względem swego nowego otoczenia pragnie się przejąć. Ale z tego powodu właśnie doznaje duch jego nieznośnych przygnębień, ztąd płyną jego rozpacze i tęsknoty bezradne: słowem, cały tragizm położenia. Przekonywa się bowiem prędko, że na nic się swemu otoczeniu nie zda, że dla ludzi, z któremi żyć mu wypadło, większą posiadają wartość zasoby: cukru, herbaty, perkalu, rzeczy zawartych w jego kuferku, niż cała jego inteligencya, dobra wola i uczucie. Upokarza go więc naprzód jego bezużyteczność i gnębi niemożność zlania się organicznego z tem, co obok niego żyje i cierpi bez jego współudziału. Więc jest niczem, zerem, co najmniej jest „jak tak gałązka, ze szczytów strącona na dół,“ co więdnąć musi i bezsilnie patrzeć na mozolną pracę korzeni. A wszak kiedyś w innem środowisku i wśród innych ludzi miał i on swe miejsce i swe znaczenie, pracował wspólnie i dążył z innemi do jednego celu, był użytecznym i posiadał świadomość swej wartości. Tam uczucie jego było zużywane, inteligencya należycie ocenianą i wyzyskaną. I oto z zestawienia tego, co było, z tem co jest, z myśli o „troskach wspólnych i pracy ogólnej“ — z poczucia ich konieczności i potrzeby powstają smutki Pawła i jego tęsknoty. Z tego rodzaju tęsknotą, z tem przeświadczeniem o niemożności zastosowania się do danego otoczenia i wzięcia czynnego udziału w jego najżywotniejszych sprawach i interesach trudniej jest sobie dać radę, niż ze wszelkiemi innemi cierpieniami i tęsknotami, wynikającemi z nienormalnych warunków istnienia. Gdy Pawła np. razi i drażni dzikość zwyczajów jakuckich, to pociesza się, że to pochodzi z nieprzyzwyczajenia. Powiada on sobie: „przywyknę“ — i jest mu potem lepiej. Gdy go nękają cierpienia fizyczne a serce zbyt się już krwawi na wspomnienie lepszych czasów innej przeszłości, potrafi siebie skarcić surowo przypomnieniem cierpień innych; powie więc sobie: „Nie ty jeden i nie ty najwięcej!“ — i jest mu lepiej i znośniejszem staje się własne cierpienie.

Na to więc duchy silne znajdują w mocy swojej pokrzepienie, tamta zaś tęsknota, płynąca z niemożebności użytecznego zajęcia siebie i z użycia, nie daje się żadnemi fortelami i wybiegami ukoić. Cóż więc w takim razie? Trzeba „więdnąć bezsilnie“, stawać się bezwładnym, zapadać w sen bez marzeń, zgodzić się z góry, będąc w pełni sił ducha i potęgi pragnień na „marasmus senilis“. Więc i Paweł patrzy okiem strwożonem na krzątanie się Jakutów, związane z ich walką codzienną o byt, na wysiłki ich i zabiegi, czynione w celu utrzymania nikłej i niepewnej egzystencyi. Współdziałać z nimi nie może; co najwyżej może czynić sobie gorzkie wyrzuty, że wrażliwość ma stępioną i niedostatecznie się przejmuje żywotnemi zadaniami ich życia. Nędzna pociecha! Czasami wprawdzie ma tę przyjemność, że może im wytłomaczyć: co to jest żelazo, jak się robi perkal, albo stara się zastąpić ich wrodzony fatalizm pojęciem mniej beznadziejnem i zachęcić do walki ze złem, np. z ospą, dziesiątkującą ich bez miłosierdzia; ale to sumienia uspokoić nie jest w stanie.

Na tę niemożność związania swego istnienia z bytem zbiorowości, w której żyje i sprzęgnięcia własnych celów z jej celami, cierpi istota Pawła. dotykana w jej czułych instynktach społecznych. To jest jego *elementarne* cierpienie; przypomnienie zaś tej pracy, która instynktom tym dogadzała i przekonanie o tem, że jest do niej uzdolniony, cierpienie to tylko potęguje. Paweł cierpi, jako jednostka wyższa, której nie o to chodzi, by zasiąść u stołu biesiadniczego cywilizacyi współczesnej, lecz że wysiłkom cywilizacyjnym dopomagać nie może.

Pozostają inne jeszcze cierpienia; płyną one z uczuć niezaspokojonych, z nieuzewnętrznionej tkliwości serca i zasobów wzruszeń rzewnych, niemogących w ruch się za-

---

uwagi, jak wielu jest dziwaków w naszym zawodzie.

— Czemże się objawia to dziwactwo u Bielusza?

Czem pan chce tem samem czem u wielu innych. Zbyt ciasnem oddychamy powietrzem i zbyt monotonnie żyjemy. Ztąd wytwarzają się pewne zboczenia fizyologiczne: ścieśnienie mózgu, a rozszerzenie serca.

— Dyagnoza może nie ściśle naukowa, ale, kto wie, czy nie prawdziwa. A jednak ten Bielusz był dawniej niezwykle szlachetny; wcale pokaźnych zdolności, pełen zapału zagorzały idealista, wierzący w tryumf dobrego i całą duszą poeta. Od klasy siódmej obaj celujący uczniowie żyliśmy w najserdeczniejszej przyjaźni. Prawda, ja miałem zawsze pierwszą lokacyę, on drugą, ale on więcej umiał, znacznie więcej, był pracowitszy... i, co prawda, szlachetniejszy.

— Dla czegóż więc panu dawano pierwszeństwo?

— Byłem śmielszy, sprytniejszy, zresztą zdrowszy. To w życiu prawie zawsze rozstrzyga. Ja korzystałem od niego, on od nikogo; nie popisywał się wiedzą połowiczną; milczał, jeżeli nie wiedział czegoś napewno i gruntownie; nie umiał wyzyskać wiedzy swej na własną korzyść. Egzaminu dojrzałości tylko dlatego nie złożył z wyszczególnieniem, że zamiast po jednem zadaniu dla siebie, pisał ich po pięć dla siebie i kolegów, i to z każdego przedmiotu.

— Zaciekawiasz mię pan. To dobry człowiek.

— Dobry był jak rzadko. Ale miał naturę, rzekłbym, nie do dzisiejszego życia. Ideali ta, marzyciel, błąkał się po mlecznych drogach, u nóg nie widząc kamieni. Wychodziliśmy często na dalekie przechadzki. I ten zagorzalec, którego kochałem, ale z którego marzycielskich porywów i pomysłów nieraz w oczy się śmiałem, tak umiał rozkołysać moją wyobraźnię, tak usposobić i rozgrzać, żeśmy wobec piękniejszych widoków przyrody, ukryci za skałami, w zachwycie padali na kolana, obejmowali się, modlili, przysięgali sobie dążyć wspólnie do doskonałości, coraz większej. Dzieciństwo, ale szlachetne. I dziś przyjemne wspomnienie.

— Ba, cóż z tego, kiedy z niego zrobił się dziwak, a pan przez dwadzieścia lat nie widział się z nim nawet.

— Doznaję też wyrzutów sumienia. Cóż zresztą było robić? Stosunki. Rozstaliśmy się po maturze. Ja dostałem stypendyum i wyjechałem zagranicę, najpierw do Wiednia, gdzie biedowałem, ale uczyłem się wiele. On po śmierci swego ojca, dla utrzymania matki i sióstr, wyjechał na wieś na guwernerkę i tam może kilka lat życia zakopał.

— Więc korespondencya...?

— Zrazu parę listów, potem żadnej. Nie miałem czasu, on może ochoty. Dwa razy tylko otrzymywałem pieniądze od bezimiennego. Niedawno dowiedziałem się przypadkiem, że on był tym bezimiennym, a byłem wówczas w najrozpaczliwszej biedzie. Zkąd dowiedział się o moim adresie i przykrem położeniu, do dziś dnia nie wiem. Ale czy pan uwierzy, gdzie się najniespodzianiej spotkałem z jego nazwiskiem? W Londynie. Przed czterema laty jeździłem tam, jako delegat uniwersytetu. W pewnem towarzystwie uczonych, w ciągu dyskusyi, filologowie wymienili mi jego nazwisko. Pytam o wyjaśnienie i widzę zdumienie na twarzach. „Jakto — pytają — nie znasz pan nazwiska swego rodaka, którego dzieło jest w gronach filologów niemieckich tak cenione?“ Musiałem się płonić i w pokorze ducha, zaraz nazajutrz w bibliotece, kazałem sobie dać dzieło Bielusza. Pisane po łacinie, lat temu 10, w zakazanej jakiejś kwestyi filologicznej. Oczywiście nie czytałem, bo mnie te sprawy mało obchodzą. Masz pan dowód, że ten dziwak pracował. Ale niech mi pan przecie powie, czy rzeczywiście ten biedaczysko tak zdziwaczał?

— Po tem, com przed chwilą słyszał, jestem w kłopocie. Tak mi mówiono. Ale sądy ludzkie na wodzie pisz. Sam znałem go krótko, pobieżnie i już dawno temu. Zdziwaczeć można było łatwo. Mnie także prawdopodobnie byłby ten los spotkał, gdybym dłużej był wytrwał w takich stosunkach, jakie tam do niedawna były. Chcesz pan słuchać? Dobrze, opowiem szczegółowo, bo i tak jeszcze parę godzin jazdy mamy przed sobą...

— Za moich czasów był dyrektorem

mienić i zwrócić w formie określonej ku istotom otaczającym. Cierpienia te, będące wynikiem niemożności rozszerzenia życia psychicznego, gorzej daje się we znaki, wierzajcie nam, cośmy życia „na kresach lasów“ nieco popróbowali — niż prywacje fizyczne i ograniczenia materyalnego bytu. A jak gnębią one duch, jak kruszą go w niwecz i upośledzają, jak niewyszukaną, lecz trudną do uśmierzenia tęsknotę rodzą! Człowiek, żyjący w warunkach normalnych kultury, gdy ma główne potrzeby swoje w dostatecznej mierze za spokojone, gdy go znuży i zniecierpliwi jednostajność odbieranych wrażeń, oraz prawidłowość wykonywanych czynności, bez czego jednakże nie pojmowałby życia, zaczyna się oglądać za czemś *nowem*, niezwykłem, nieokreślonem, byleby módz tylko przerwać monotonię swego istnienia, znowu czemś się przejąć silniej i pobudzić do życia. Na tle znużenia i zniecierpliwienia wytwarza się w nim jakaś mętna przeczuciowość i nieokreśloność pragnień, które mu niepozwalają widzieć w formie wyraźnej przedmiotów, mogących przynieść zadośćuczynienie. Wyobraźnia jego domaga się wciąż nowych ideałów, a nerwy nowych wrażeń. Zkąd ma przyjść to, czego żąda, z której strony wyczekiwać przebijania się promieni zbawczej jutrzenki — oto nie pyta i nie dba zbytnio i nie wie zresztą. Ale ta nieokreśloność i niepewność nadziei w nim nie zmniejszają, pragnień nie niszczą. Owszem, on wciąż wyglądać będzie rzeczy pożądanych i na rozmaitych punktach widnokręgu wzrok swój zatrzymywać, wyczekując ich; może być wprawdzie rozmaitemi znakami w błąd wprowadzony, może się sparzyć to na tem, to na owem, ale łudzić się i spodziewać nie przestanie, dla tego naprzód, że pragnie, a po drugie, że ma przed sobą nieskończoność, niezdeterminowaną i nieokreśloną, ma nieustanną możność i dowolność przypuszczeń. W warunkach takich, w jakich żyje Paweł, ma się przed sobą skończoność, ściśle zdeterminowaną: tam się tęskni do istot *żywych*, tych, które się zna doskonale i które żadną *nowością* nie są; tam każdemu pragnieniu odpowiada kształt wyraźny, w liniach swych niezatarty; tam wie się, że właśnie tej rzeczy, a nie innej chcemy, że tylko ona jest w stanie potrzebie naszej zadość uczynić; na chwiejność i niepewność wyobraźni tam się nie choruje. Ale dla tego właśnie tęsknota tam jest tak straszna i beznadziejna — łudzić się i spodziewać tam niepodobna. Oto stoją przed nami wyraźnie, jak żywe, przedmioty naszych pragnień i potrzeb, wiemy, co z nich wybrać, by zadowolić siebie, ale wiemy również, że każda z tych rzeczy stoi poza obrębem naszego dosięgania, że mamy bezwzględną niemożność jej dostania i.... wszystko w ten sposób się kończy i każde pragnienie w tem przeświadczeniu się gubi i krzepnie, a tęsknota wciąż pozostaje. A jak się tam tęskni!... Tam każda cząsteczka nasza jest przesiąknięta utęsknieniem; człowiek cały grzęźnie we wspomnieniach, w dawniej przeżywanych stanach ducha i położeniach; najlżejszy wietrzyk przypomnień dreszczem go przejmuje, najbłahszy pretekst roztkliwia i rozmiękcza serce; rezultatem zaś tego wszystkiego bywa najczęściej upośledzenie i pokrzywdzenie ducha. Życie, nic tam nie dające, pastwi się i ironię swą dokonywa. Czyż bowiem nie jest ironią chęć automatycznego, obojętnego *powtarzania* tego, co niegdyś było istotną przyjemnością naszą i odpowiedzią na bodźce, odbierane z zewnątrz, po to tylko, by sprawić sobie przypomnienie blade czegoś, co się kiedyś robiło i lubiło. Tam mówi się nieraz, nie będąc do tego zachęconym żadnym bodźcem zewnętrznym, po to tylko, by mówić to i w ten sposób, co w obec kogoś niegdyś się mówiło, słowem, powtarza się czynność jakąś dla niej samej, chociaż nie ma ona i nie może mieć rozumnego zastosowania.

Z tych usposobień i konieczności wynikają najczęściej położenia, podobne temu, w jakiem znalazła się rozmarzona Tytania, pieszcząca głowę osła. Lecz i na to jeszcze nie jedenby się zgodził, gdyby rozczarowanie podobne mogło być poprzedzone jakiemś rozkosznem marzeniem, o nie jednak najtrudniej: nie marzenia lecz chorobliwe halucynacye są tam udziałem duszy utęsknionej.

W taki sposób moglibyśmy „Na kresach lasów“ rozpatrywać dłużej; i tego jednak wystarcza, by przekonać, że utwór ten godzien jest głębszej rozwagi. Zasługuje na nią jeszcze z wielu innych względów. Bogaty materyał etnograficzny, zawarty w książce, dotyczący mało znanego bytu ludów Azyi północnej, stanowi także niemałą ich wartość. I jako utwór artystyczny, nie jest książka Sirki byle czem. Prześliczne znajdujemy w niej opisy: zachodów słońca, wieczorów mglistych, poranków świeżych itp. Obrazy natury, jakie maluje Sirko, są wynikiem głębokiego zżycia się autora z otaczającą go przyrodą, rezultatem przystosowania się do niej wrażliwości jego, szukającej na jej łonie ukojenia. Dla tego to autor dość często swoje stany psychiczne dostraja do stanów natury i widzi w nich nieraz to, czego nie zawierają w sobie. Towarzyszy to jednak zawsze przymusowemu kontemplowaniu przyrody. Barwnie i ruchliwie odtwarza nam autor niektóre sceny z życia Jakutów; takiemi np. są opisy polowania na renifery, uczty wygłodzonych Jakutów i inne. Opisowość jego dosięga szczytów pełni i siły artystycznej na końcowych kartach książki, poświęconych opisowi spustoszeń, zrządzonych wśród Jakutów przez ospę. Przerażające to i przejmujące grozą sceny. Zauważyć tu także trzeba, że opisowość autora odznacza się pełnym miary i szlachetności naturalizmem, nie pozwalającym sobie na żadną drastyczność i dosadność dla nich samych — gwoli przyjętej manierze, lub w celu wywołania grubszego, doraźnego efektu. Wrażenie, jakie pozostaje po zamknięciu książki, jest ze wszechmiar dodatnie i pokrzepiające. Serce drętwieje nieraz z bólu, gdy się rozważa przygody i życie Pawła wśród Jakutów, ale z tego rozważania wynosimy głębokie poczucie szacunku dla istoty ludzkiej, wiarę w potęgę bodźców moralnych i uwielbienie dla tych, co z niszczącemi ducha naszego potęgami, potrafią się pasować i nie marnieć.

Wł. Jabłonowski.

---

tamtejszego gimnazyum pedagog, który w ciągu 20 lat służby nauczycielskiej odznaczył się tem, że ani razu przy poprawianiu zadań, nie przeoczył opuszczonej w zeszycie kropki, ani zaniedbanego przecinka, ani razu później nie przyszedł do szkoły, jak na 15 minut przed swą godziną, nigdy o włos nie zboczył od przepisów i rozporządzeń, a nadto zwrócił uwagę władz wynalezieniem i szczególnie biegłem zastosowaniem poczwórnego rodzaju katalogów, nader sztucznie pokratkowanych w różne strony. Długo byłoby wyliczać sposób tego pokratkowania i pożyteczne zadanie każdego z tych katalogów. Dość powiedzieć, że osobne rubryki były przeznaczone na oznaczenie wzrostu uczniów i barwy ich włosów; inny katalog, t. z. klasyfikacyjny podawał kombinacye różnych not z całego półrocza wstecz, wzdłuż i wszeż zliczonych i po kilkakroć zsumowanych, a tak był bystro obmyślany, że w zdumienie wprawiał całe nauczycielstwo. Pedagog ten położył także liczne jeszcze inne zasługi. Rada miejska miejscowa swego czasu postanowiła wybudować okazały gmach dla gimnazyum, a stary z powodów hygienicznych i estetycznych zburzyć, ponieważ — jak się któryś radzca miejski wyraził — zatruwał powietrze w mieście i przechodniom sprawiał wstręt i obrzydzenie.

Owóż, idąc w ślad Jana Śniadeckiego, który ongiś uratował byt akademii wileńskiej, nasz pedagog wykazał w radzie dobitnie, że ze względów pedagogicznych gmach nowy byłby dla młodzieży szkodliwy, gdyż należy uczniów wychowywać w pokorze i pogardzie świata: a przemawiał z taką siłą przekonania, tak umiał zachwalić stare mury, które wychowały tyle pokoleń, że ojcowie miasta dali się przekonać, choć niechętnie. Miał on w tem cel inny, który osiągnął. Potajemnie napisał długi memoryał do ministerstwa, dowodzący, że budynek gimnazyalny jest niepotrzebny, ale za to bardzo pilna zachodzi potrzeba wybudowania nowych koszarów dla wojska, których wybudować nie chce rada miejska z pobudek patryotycznych.

Za tak liczne zasługi, a zwłaszcza za ostatni pomysł mianowany dyrektorem, urósł w opinii własnej jeszcze więcej i postanowił teraz dopiero wykazać, czego dokonać zdoła umysł genialny na tak wysokiem stanowisku. Z zakładu sobie powierzonego, postanowił uczynić podziw świata, niejako model na wzór dla innych, spodziewając się, że, wezwany potem na ministra, wpływ swój dobroczynny roztoczy nad szkołami całego państwa. Jako dobry administrator, zadziwił zaraz w pierwszym miesiącu władze oszczędnością, czytał bowiem nieraz, że dobrzy administratorowie bywali zawsze oszczędni. Przeto trzecią część dochodów, przeznaczonych na środki naukowe, odesłał do skarbu państwa, jako pieniądze zaoszczędzone, nadto wniósł do konferencyi grona, ażeby profesorowie, dając przykład powściągliwości i umiarkowania, ofiarowali co miesiąc, co kto może, dla zwiększenia tych oszczędności, sam piątą część swych dochodów na ten cel przeznaczając. Na jego także wniosek, władze zaczęły przyjmować zastępców z połową płacy miesięcznej. Nadto zajął się nie na żarty uporządkowaniem administracyi i nauczania. Pomimo rozpaczy żony, kobiety — co prawda — wiecznie płaczącej, siedział w kancelaryi swej od godz. 5 rano do godz. 9 lub 10 w nocy, po kilka razy przepisując na czysto katalogi i sprawozdania, wprowadzając nowe rubryki i księgi, oryginalne druki i blankiety. Jako zawiadowca gabinetu przyrodniczego, musiałem po 10 razy spisywać minerały, motyle i rośliny. Sprawozdania do rady szkolnej szły co dzień stosami, konferencye odbywały się niemal co dzień: to pedagogiczne, to dydaktyczne, to dyscyplinarne, to plenarne, to miesięczne, to tygodniowe, to wyjątkowe, to klasyfikacyjne, z powodu każdego rozporządzenia i każdego zajścia w szkole. Na hospitacye przychodził niespodzianie z dwoma katalogami w jednem i instrukcyami w drugiem ręku, i przez całą godzinę notował skrzętnie wszelkie usterki w metodzie nauczania. Zeszyty co drugi miesiąc przeglądał, wyłapując złe terminy zadań lub niepoprawione przecinki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„ŻNIWIARKA"
figura konkursowa R. Lewandowskiego.

Stary mrok zimowego południa zalegał ulice Wiednia, gdy wyskoczyłem z tramwaju w Alleegasse przed domem, noszącym nr. 66.

„Czwarta godzina — ciemno już; chyba nie zastanę go w pracowni" — myślę sobie, ale mimo to drapię się po schodach w górę. Cwarte piętro, na drzwiach karta: Stanisław Roman Lewandowski, akad. Bildhauer". Dzwonię. „Herein" — krzyczy ktoś z wewnątrz głosem dźwięczącym jakąś gorączkową energią. „Dobry wieczór" — i wchodzę do obszernego atelier, w którem wysoka, barczysta, pysznie zbudowana postać rzeźbiarza, o grubym karku, rozwichrzonych włosach, w szarej kurtce, z rękawami zakasanemi, stoi koło jakiejś nagiej, szarej, glinianej figury kobiecej, lepiąc i babrząc się zawzięcie w mokrej glinie. To akt do „Żniwiarki".

— Jakto, to pan jeszcze modelujesz, w takim mroku? — pytam rzeźbiarza.

A ten, chwytając mnie mokrą ręką za ramię, odpowiada:

— Panie, toż jabym całą noc robił, gdybym miał światło. Ze mną tak zawsze! Gdy mnie gorączka pracy ogarnia, rozpalam się i pracuję, jak koń! Od ósmej rano stoję tu bez przerwy a niekiedy i bez jadła. Uwierzysz pan, że cały ten akt pod draperyą wraz z rusztowaniem zajął mi niespełna sześć dni pracy? Co, ładna kobiecina? W tem jest ruch, prawda?

Tymczasem ściemniło się w pracowni tak dalece, iż trzeba było przerwać robotę. Rzeźbiarz wdział surdut i razem opuściliśmy pracownię.

— Czy tylko aby skończę na czas figurę!... Jeszcze trzy tygodnie dzielą nas od konkursu! Ej, chyba skończę — dodał z energicznym błyskiem w oczach. — Dlaczegożbym nie miał skończyć..

Istotnie skończył w porę.

Pod delikatnemi palcami artysty, glina nabierała coraz większego życia, draperya rozwiewała się, zmieniała fałdy i dochodziła natury. I w wiedeńskiej pracowni stanęła „Żniwiarka z pod Bronowic", z sierpem w ręku i wiezią złotej pszenicy. Słońce dopieka snać skwarem południowym, gdyż młoda kobieta zmęczyła się porządnie i chwilę chce odetchnąć i spocząć w pracy. Przeciąga się i prostuje smukłe, gibkie członki; głowę, którą chuścina okrywa, w tył odrzuciła i zmrużonemi oczyma patrzy się w jasną, złotą, słoneczną dal. Pod koszulą, zwieszającą się mokremi od potu fałdami, czuć młode i jędrne ciało, piersi twarde jak gruszki.

Ale los omal że nie splatał fatalnego figla gipsowemu odlewowi, wysłanemu do Warszawy. Kolej północna zwróciła artyście rzeźbę z drogi, zawiadamiając go, iż skutkiem spotkania się pociągów w drodze, figura uległa uszkodzeniu. Szczęściem, szkoda dała cię naprawić. Artysta jął się znowu z żelazną energią do pracy i w ciągu kilku dni złożył kawałki i sporządził nowy odlew.

Zapewne równocześnie z moją korespondencyą, rzeźba R. Lewandowskiego pojawi się na wystawie warszawskiej, a dalsze jej losy zawisną od sędziów i publiczności. W pracowni zaś artysty wznosi się już nowe rusztowanie, na którem stanie „Kain". Dzieło to w sposób symboliczny ma uzmysłowić zbrodnię i psychologicznie uwydatnić duszę zbrodniarza.

Wiedeń, 15 stycznia 1896 r.

Ludwik Szczepański.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z nad Wisły.

Warszawa, 1. lutego.

I.

(Sprawa Łotarewa. Dymisya dra. Rothego. Nasz lojalizm. W mrokach).

Rozpoczynając tę seryę listów ze stolicy Polski, jestem doprawdy w kłopocie, o czem pisać. Gdybym pomiędzy czytelnikami waszego pisma mógł urządzić plebiscyt, zastosowałbym się do życzeń większości. Dla czytelnika z pod zaboru pruskiego przedewszystkiem muszą być interesujące fakty ucisku, bo choć i on nie stąpa po różach, to jednak system rządowy, któremu podlega, oparty jest choć na pozorach prawa, a wykonawca systemu bierze się do dzieła, wdziawszy rękawiczki kultury. My tu dawno o rękawiczkach zapomnieliśmy, a prawa istnieją tylko po to, aby było czem zapełnić „S w o d Z a k o n ó w."

Rządy bezprawia, stosowane przez Hurkę i jego poprzedników, kontynuje i hr. Szuwałow — może w mniej brutalny sposób. Rusyfikacya w szkołach bynajmniej nie ustaje; na końcu przeszłego roku szkolnego doszła do tak przerażających rozmiarów, że po wakacyach nawet rząd się opatrzył i część wydalonych profesorów Polaków przyjął na nowo.

Chciałbym podać Wam kilka faktów donioślejszego znaczenia, ale o to u nas najtrudniej. Bardzo trudno sprawdzić wszelkie opowiadania, które krążą po mieście, a przysiągłem sobie nie komunikować Wam innych faktów, jak tylko sprawdzone najściślej. Przytem ucisk jest ciągły i stały. Nam, co żyjemy w tem jarzmie, nie byle co może zaimponować...

Do czego dochodzi zuchwałość Rosyan u nas, o tem świadczyć może następujące zdarzenie, stare już dosyć, ale, o ile mi wiadomo, nieuwzględnione dotychczas przez żadne z pism polskich za granicą. Za autentyczność szczegółów mogę ręczyć.

Rzecz dzieje się na otwarciu wystawy przemysłowej w Łodzi. Po opuszczeniu inauguracyjnego bankietu przez hr. Szuwałowa, p. Mieszkowski, redaktor „Kuryera Codziennego" wzniósł po polsku toast na cześć komitetu urządzającego wystawę, dziękując mu za gościnne przyjęcie prasy. Na to wstaje niejaki Łotarew, dyrektor adminisracyjny zakładów Szajblerowskich i wyraża swoje oburzenie z powodu, że w kraju „r u s s k i m," ktoś śmie przemawiać nie w ojczystym, lecz obcym języku. Tego było zawiele nawet dla flegmatycznych Niemców. Dwóch członków Komitetu, (z których jeden Niemiec,) niedelikatnie wysunął p. Łotarewa za drzwi, naczelnik zaś jego, p. Herbst, zapowiedział mu, że go wydali z zajmowanej posady. Ochłonął on jednak potem widocznie, bo p. Łotarew pozostaje na swojem stanowisku, lubo w fabrykach Szajblera chciał zaprowadzić zamiast urzędowego niemieckiego — język rosyjski. —

Wydalania Polaków z posad rządowych idą swoim trybem. Niedawno los ten spotkał zasłużonego lekarza szpitala dla obłąkanych (Bonifratrów) dra. Rothego. Z polecenia jenerał-gubernatora do szpitala Jana Bożego przyjechał na rewizyę ochmistrz Pietrow z rozkazem, aby wszystko widział w złem świetle. Tak się też i stało. Pietrow stwierdził nadużycia i nieporządki, a na tłomaczenie dra. Rothego odpowiedział szorstkim rozkazem podania się do dymisyi. Dr. Rothe wręczył podanie, a gdy na specyalnej audyencyi u hr. Szuwałowa chciał się uniewinnić, odpowiedziano mu, że nie czas teraz na tłomaczenia, kiedy dymisya już jest faktem dokonanym. Krąży po Warszawie następująca pogłoska, co do przyczyn tego faktu. We wrześniu uciekł ze szpitala niejaki Kasprzak, przestępca polityczny, który tak świetnie udawał w cytadeli warjata, że go oddano na obserwacyę do szpitala. Jego narzeczona, uzyskała od szefa żandarmów, jen. Broka, pozwolenie na odwiedziny i dała mu podobno piłkę, którą on przepiłował kraty w oknie i uciekł. Druga wersya mówi, że stróże byli przekupieni i że oni to p o s t f a c t u m przepiłowali kratę, aby zrzucić z siebie podejrzenie. W każdym razie z punktu widzenia władzy winnym powinien by być jen. Brok a nie dr. Rothe, aleć Polak oczywiście musiał odpokutować.

Cóż społeczeństwo na to wszystko? — zapytacie. Społeczeństwo marzy o ugodzie, łudzi się jeszcze co do osoby hr. Szuwałowa, tembardziej, że są tacy, co mają swój interes w tem, aby złudzenie trwało jaknajdłużej. Hr. Szuwałow postara się jednak sam oto, aby ślepym łuski z oczu opadły!

Niedawno wyjeżdżał ztąd niajaki Kuncewicz prezes sądu handlowego. Pp. Stanisław Brun, Edward Landic i Bronisław Werner, kupcy, zainicjowali zebranie składki na prezent dla wyjeżdżającego, który jest typem „djejatiela" w najgorszym gatunku. Za czasów swego urzędowania pousuwał wszystkich polaków, którzy służyli w biurach sądu handlowego, nawet stróży. Pomimo to, a raczej może właśnie dla tego, wszyscy kupcy, którzy byli sędziami w sądzie handlowym i grono młodych adwokatów (nazwisk ich nie wymieniam, bo może się jeszcze poprawią) złożyli się na wspaniałe kandelabry, zegar i album z fotografiami urzędników. Upominki te zostały wręczone przez deputacyą, której przewodniczący p. Werner w ciepłych słowach skreślił zasługi byłego prezesa i wyraził żal kupiectwa, że traci tak szlachetną i dzielną jednostkę. Podnosi jeszcze zasługę tych panów fakt, że kupiectwo jest jedyną u nas klasą, absolutnie od rządu niezależną, manifestacya więc płynęła z czystego serca, a nie z pobudek interesu. Można śmiało powiedzieć, że nasi ugodowcy im silniej ich policzkują, tem pokorniej nadstawiają twarze... jeżeli nie w rzeczywistości, to przynajmniej na fotografiach, składanych w prezencie „djejatjelom".

Jeden z wielkich książąt, jeneralny dowódzca kawaleryi, rewidował pułki kawaleryjskie, stojące w Królestwie. Między innemi miejscowościami był też i w Ciechanowie w gub. płockiej. Tamtejszy naczelnik powiatu Herman, będący pod śledztwem za nadmierne łapówki, chciał sobie zasłużyć na najwyższą łaskę kosztem Polaków. Zwołał on tedy obywateli i zaproponował im składkę na tacę dla wielkiego księcia, na której miał być wręczony przez deputacyę chleb i sól. Nikt naturalnie nie protestował; taki jest u nas brak odwagi cywilnej. Co uczciwsi ludzie, to starali się o to, aby nie być do deputacyi wybranymi. Na dzień oznaczony zjechała się deputacya i pięciu panów braci „na gapia", — z dobrej woli. — Oto nazwiska tych „ugodowców quand même": Wilczyński, Nieżyński, Łempickich dwóch, Gutkowski Ignacy ze Smiecina i Jaroszewski. Nazwiska te były już ogłoszone w „Przeglądzie Wszechpolskim", którego od nośny numer został w Ciechanowskiem rozpowszechniony. Wtedy dopiero spostrzegli się panowie ziemianie co uczynili; ten i ów od ugodowców się odwraca, a na początek dobre i to.

To się dzieje na powierzchni społeczeństwa. Dołem w ciemnościach inne nurtują prądy; krecią robotę opozycyjną prowadzą

jednostki ciemne, nieznane i nieliczne... Raz poraz z szeregu walczących zniknie jeden, lub drugi żołnierz, by się ocknąć na dalekim wschodzie, na miejsce jego nie zawsze staje inny, ale bądź co bądź mały hufiec walczących wciąż istnieje. Nieugięta wiara tej garstki, której smutne życie oświetla tylko zorza idei, wykazuje często wybitne ślady bohaterstwa. Cierpią, lecz z Galileuszem wołają: „E pur si muve!“

Tyle na dziś. Następną korespondencyę poświęcę literaturze i sztuce naszej.

Zbisław.

Ferdynand Lassalle
w listach do przyjaciela.

Cokolwiekby się powiedzieć dało i cokolwiek już wypowiedziano wielokrotnie przeciwko wdzieraniu się krytyki w prywatne stosunki i życie ludzi, stojących na widowni publicznej i przeciwko „kamerdynerskim“ zakusom „ciekawskich“, odgarniających brutalnie zasłonę z domowych tajemnic,—nie da się zaprzeczyć, że do całkowitego poznania człowieka, bez względu na to, jakiego rodzaju działalnością stanowisko swoje zaznaczył i do jakiej wyżyny z nią doszedł, konieczną jest rzeczą zbadanie tych warunków, które bezpośrednio na niego wpływały, odkrycie tych pobudek czysto indywidualnych, które były sprężyną jego działania. Nie dla tego, iżby one dawać miały podstawę do oceny czynów, jako takich, i być probierzem zasługi publicznej, ale dla tego, że w nich i przez nie — zasługa w prawdziwszem świetle, czyn w należytej oprawie, życie całe na odpowiedniem tle się ukaże i indywidualna (nie społeczna), etyczna (nie materyalna) ich wartość dopiero się wyłoni.

Jeżeli w odniesieniu do poetów i artystów — zdanie powyższe ma zupełne uzasadnienie, to tem większe mieć ono powinno zastosowanie do „ludzi czynu“ — a więc do tych, którzy bezpośredni udział w życiu społecznem biorąc, nieraz pod wrażeniem chwili działając, na szalę wypadków wzgląd osobisty obok publicznego z konieczności kładą. Jeżeli interesuje nas kwestya, w jakim nastroju poeta lub artysta dane dzieło tworzył, z jakich pobudek wypłynęły jego utwory, lub czy myśli i uczucia, wyrażane w jego pismach, obrazach lub rzeźbach były szczerem odbiciem rzeczywistych uczuć i zgadzały się zapatrywaniami twórcy, — o ileż silniej zająć nas winno pytanie, czy ten lub ów znany działacz społeczny, walczący za ideę i znoszący za nią prześladowania i ucisk działali li tylko pod sugestyą samejże idei, przez się głoszonej lub rozpowszechnianej, czy też między pobudkami jego działalności znalazł się jaki wydatny moment osobisty i czy ten moment osobisty był natury czysto idealnej lub też nie.

Niewątpliwie: — badania takie mogą doprowadzić i doprowadzają niejednokrotnie do odkryć dość niemiłych, do rozczarowań często bolesnych, zdzierając z niejednej postaci męczennika idei szatę niepokalanego męczeństwa i poświęcenia; niemniej jednak mogą w nagrodę przynieść prawdziwie szlachetne zadośćuczynienie, gdy dowiodą, że obok szarlatanów i poliszyneli występują na arenę publiczną jednostki nieposzlakowanej czci, przejęte świętym dla umiłowanej sprawy zapałem, zdolne istotnie poświęcić dla niej dużo, jeśli nie wszystko, a działający pod nakazem kategorycznym jakiejś wyższej nad wolę jednostki siły wewnętrznej, która „stwarza cuda“.

Do takich jednostek należał znany agitator, uczony i poeta — Ferdynand Lassalle.

Z nazwiskiem tem związane jest takie mnóstwo sprzecznych rzeczy, sądów i zdań, — że postać Lassalle'a zda się niemal być zdobną w jakąś tajemniczą mgłę legendarności, z poza której niewyraźnie prześwieca jego indywidualność. Ilu pisarzy zajęło się jego osobą, tyle zdań o niej posiadamy; a nawet ci, którzy zgadzają się z sobą zupełnie w ocenie jego działalności publicznej, na punkcie prywatnej jego istoty — „des Menschen an sich“ — w zawziętej z sobą walczą dyspucie. Najbliższym może zrozumienia indywidualności Lassalle'a był Brandes*), który pokrewieństwem rasowem zbliżony do niego, odgadł w nim rys zasadniczy, stanowiący — zdaniem jego — podstawową cechę indywidualności Lassalle'a, ową bezwzględność w dopięciu zamierzonego celu, która nie jest synonimem brutalności, lecz nie zna względów jedynie dla przeszkód, tamujących drogę do upatrzonych wyżyn, i w pochodzie zwycięzkim miażdży wszystko, co jej staje w drodze.

W tej „bezwzględności“ — którą wielu mylnie identyfikuje ze zwykłą zarozumiałością lub nawet z arogancyą (wystawiając sobie tem dowód niepospolitej płytkości pojęć) — tkwi może istotnie jakieś rasowe, niezatarte piętno, jakiś stygmat, nadający indywidualności danego człowieka wybitne zacięcie; ale niepodobna zgodzić się z Brandesem na określenie, że w niej zamyka się cała zagadka psychicznego nastroju Lassalle'a. U człowieka tej miary, co Lassalle, sama ambicya, choćby nawet spotęgowana do rozmiarów „bezwzględności“ owej — nie mogłaby być dźwignią całego życia. Musiał w nim gorzeć jakiś zapał nieśmiertelny, jakaś wiara niezwykła w przeznaczenie swoje i zwycięstwo głoszonej przez niego idei. I rzeczywiście zapał taki i wiara istniały w Lassalle'u i one parły go naprzód może mimo, a może czasem nawet wbrew jego woli.

Najlepsza znawczyni Lassalle'a jako człowieka prywatnego, jako indywidualności, bo najbliższa i najwierniejsza jego towarzyszka — hrabina Hatzfeld w liście swoim do żony Jerzego Herwegha bardzo trafnie i niezawodnie na głębokiej oparta obserwacyi określa jego indywidualność w słowach: „Lassalle był na wskroś fatalistą, atoli w najwznioślejszem z dawien dawna znaczeniu tego wyrazu; jak każdy wielki człowiek wierzył silnie w swoją gwiazdę, w swoje posłannictwo i w to, że przed tem, przed jego spełnieniem paść nie może“. W tem dopiero określeniu znajdujemy klucz do wniknięcia w indywidualność Lassalle'a.

Prywatne stosunki Lassalle'a już dawno przestały być tajemnicą jego rodziny i przyjaciół. Ledwo ostygło ciało zamordowanego trybuna robotniczego — rozszarpano je moralnie na tysiączne kawałki; rozebrano do naga trupa i z bestyalną rozkoszą pastwiono się nad jego pamięcią. Zohydzano każdy czyn nieszczęśliwego idealisty, zbrudzono najczystsze jego porywy, splugawiono najbezinteresowniejsze uczucia, któremi się szczycił za życia. Sprawy natury tak drażliwej, że nigdy bez uczucia niesmaku słyszeć o nich nie można, rozwałkowano na brudnym stole polemiki gazeciarskiej, przykrawając ją wedle upodobania lub potrzeby oprawców. Słowem nie zaniedbano niczego, aby pamięć rzeczywistego męczennika idei — splugawić i zohydzić w oczach łatwowiernego tłumu. Zrobiono z niego postrach na filisterskich pasibrzuchów, pod którymi dotąd na samo wspomnienie Lassalle'a, kolana się uginają ze strachu; odmówiono mu wszystkich szlachetniejszych uczuć i pobudek, a nie mogąc wprost podsunąć podejrzenia materyalnej chciwości, zastąpiono je „aureolą“ energii niepospolitej, która pod piórami oprawców zmieniła się w niebotyczną zarozumiałość, w arogancyą i samochwalstwo, wstręt budzące.

A oto ten sam spotwarzony, ośmieszony i splugawiony Lassalle, którego życie prywatne nazwano „moczarem nikczemności“ — wstaje teraz z pod pyłu oszczerstw, którym zasypać go chciano — czysty, nieposzlakowany i sam z za grobu napastnikom swoim wymierza policzek karzącej prawdy.

Jakże odmienną od wizerunku powyższego ukazuje się postać tego nowoczesnego trybuna — wynużająca się z prywatnej jego korespondencyi, z listów pisywanych do najbliższych przyjaciół bez najlżejszego przypuszczenia, że mogą one kiedyś dostać się do rąk osób trzecich, stać się własnością tłumu czytającego.

Że Jerzy Herwegh, znany i ceniony poeta niemiecki w ścisłej przyjaźni żył z Lassalle'm — o tem nie wiedziano dość długo. Obecnie opublikowana korespondencya między obu przyjaciołmi*) — przekonywa, że przyjaźń ta na pozór tak niezrozumiała między ludźmi sprzecznych usposobień i dążności, rzeczywiście istniała i stanowiła silny łącznik pomiędzy dwoma wybitnemi choć tak różnemi indywidualnościami. Tej to przyjaźni zawdzięczamy też cały snop jasnych promieni, padających na wewnętrzną, duchową istotę słynnego agitatora z szeregu listów jego, pisanych do przyjaciela, w których z szczerością, wytłomaczoną jedynie wobec zaufanego i wiernego powiernika, wynurza się z swoich myśli, pragnień, a nawet uczuć. Z listów tych dopiero występuje na jaw silna, energiczna, ale wcale nie zarozumiała, owszem, ciągłem zwątpieniem szarpana i brakiem zadowolenia wewnętrznego gnębiona indywidualność Lassalle'a, bliska nam i sympatyczna bez względu na to, jakie zdanie mieć możemy o jego działalności publicznej.

„Nienawidzę niepowodzenia jak śmierć samą — pisze do Herwegha — a nawet bardziej niż śmierci, i, mimo wszystkich doświadczeń, czuję się zawsze gotowym do boju.“ Z niepohamowanym też zapałem rwie się do działania, ciesząc się każdym powodzeniem, każdą owacyą urządzoną na cześć jego, każdą niemal zapowiedzią dobrego przyjęcia. „W drugiej połowie września (1863) — pisze w innym liście do H. — przybędę nad Ren i jak djabeł wpadnę na tę hołotę. Donoszą mi o rzeczywiście wspaniałych przygotowaniach, jakie się czynią na przyjęcie moje: zdaje się, że tłumy się zbiegać będą. Robotnicy Wuppertalu drżą już z podniecenia i niecierpliwości.“ — Myliłby się jednak, ktoby sądził, że tylko ów wstręt do niepowodzeń, owa żądza uznania — były motorem gorączkowej działalności Lassalle'a. Nie! tkwił w nim ból jakiś, który potrzebował ukojenia, odzywał się w duszy jego głos, ktory zagłuszyć należało za wszelką cenę. Tym głosem była niepewność jutra, niepewność wygranej, która odzywać się w nim musiała, pomimo ślepej wiary w słuszność, bronionej przez niego sprawy i konieczność jej zwycięstwa. Wobec tej niepewności każdy drobny fakt, drobna przeszkoda, choć usuwał ją z łatwością, raniła go silnie. I ażeby zwątpieniu wzbronić do siebie przystępu — rzucał się w wir gorączkowego, szalonego (jak je sam nazywa) działania, „zduszającego wszelką wrażliwość“. „Byle naprzód, byle naprzód z lotnym, gorączkowym pośpiechem, jak gdyby pod grozą obucha, bata, kolczugi! O jak to koi! rana zabliźnia się w czasie katorgi,

*) G. Brandes: Ferd. Lassalle. Berlin 1889.

*) Ferd. Lassalle's Briefe an G. Herwegh. Herausgegeben von Marzel Herwegh. Zürich 1896

którą się dobrowolnie sobie wymierzyło; nietylko ból ukojony, ale wrażliwość cała i uczuciowość skrzepła — *tant mieux* o jedno zgubienie więcej, o jedną słabość mniej, i naprzód, byle naprzód w szalonej, bezmyślnej pogoni, którą jest życie nasze. Szalona praca jest najlepszym, najskuteczniejszym środkiem upojenia dla — mieszkańca zachodu. Wrażliwość — zostawmy kobietom, opium dzieciom wschodu" (str, 77). — Inaczej, „skoro się każdą odrobinę uciechy, której się zażyć pragnie, zawsze gwałtem z samego siebie wydobywać musi; skoro otoczenie niczem nie działa rozweselająco — zmęczenie szybko daje się we znaki". — „Jem, piję i mam czego tylko dusza zapragnie — woła Lassalle a jednak zadowolenia mego — psu bym nie życzył. Jedynym środkiem ukojenia stała się dla mnie praca, na pozór zbyt uciążliwa, aby jej sprostać można, wymagająca sześć razy tyle czasu, iie ja do wykonania jej sobie wyznaczyłem. Z chwilą, gdy męczarnią taką się obarczę, ogarnia mię wściekły szał, który zdusza we mnie wszelkie tajone w głębi uczucia. Wysilam się, wiję i borykam z trudem dopięcia celu, ranię biodra rozpalonym kolcem zniecierpliwienia — wbijam go coraz głębiej, gorej, płonę i spalam się w namiętności która mnie pożera, szarpie mi łono, przenika duszę i myśl moją od świtu do zmierzchu, przy stole biesiadnym i w objęciu kobiet zapięte; tak długo, aż w tem szalonem rozkołysaniu się nerwów nie znajdę nareszcie ukojenia i rzecz niemożliwa nie stanie się dla mnie możliwą. Zaledwie jednak ujrzę przed sobą rezultat dokonanego dzieła i kolec ów z wnętrzności mych wyciągnę, ogarnia mnie napowrót nastrój faustowski i myślę sobie: Piesby takiego życia dłużej nie zniósł".

I tego człowieka nazwano zarozumialcem, arogantem, z wszelkich cieplejszych uczuć wyzutym, zaskorupionym w sobkostwie, i nieprzystępnym owej prawdziwej, naiwnej uciesza życia (Lebensfreudigkeit), która jest nieodzowną cechą istot wielkich a prostych.

Jakaż to radość szczera, jakie dziecinnie niemal naiwne upajanie się uciechą przebija z listu Lassalle'a, ilekroć może w nich zaznaczyć choćby najdrobniejsze powodzenie swojej idei lub osoby. Wówczas odżywa w nim nadzieja, że przecież nie nadarmo żył, że myśli i praca jego nie poszły na marne (str. 31).

A natomiast z jak wzruszającą prostotą donosi przyjacielowi swemu o zgonie ojca, którego kochał serdeczną miłością synowską „Straciłem drogiego, ukochanego nadewszystko ojca! Czy można wyobrazić sobie, co strata ta dla mnie oznacza? Wszak nie przeczuwasz nawet, czem zmarły był dla mnie! Ojcostwo samo najmniejsze tu miało znaczenie. Gdy stratę tę przebolę — nie wiem kiedy, ale wszak czas i to zdziała, cóż mi jeszcze zabrać może życie?"

Atoli nie bez powierzchownej bodaj przyczyny — nazwano Lassalle'a arogantem. Któżbo nadał mu tę nazwę, jeśli nie owa zgraja płatnych najemników pióra, dla której miał zawsze słowa najgłębszej i nieubłaganej pogardy? „Dwóch rzeczy na świecie nienawidzę z całej siły — zwykł był mawiać Lassalle — gazeciarzy i żydów, a należę sam do jednych i drugich.". Odwdzięczyli mu się też za ten objaw sympatyi — wzajemnością, która go ściga nawet za grobem.

Dr. Ignacy Suesser.

Na Wyłomie.

(Galicyjscy chłopi — posłowie. — Stanowisko prasy. — Humorystyczne zarzuty.)

Gdy galicyjskie stronnictwo ludowe po raz pierwszy przed kilku miesiącami poważne odniosło zwycięstwo, — gdy taki Bojko, Wójcik, Krempa i kilku innych, — mimo szykan policyjnych, zdobyli mandaty do sejmu i zdziwionemu społeczeństwu tryumfem swoim mówili wyraźnie że ruch ludowy nie jest drobnym ułamkiem, rozdętym sztucznie hałaśliwą reklamą do fikcyjnych rozmiarów potęgi, lecz jakąś wielką siłą żywiołową, która porusza masy olbrzymie i jako cyfra niepospolita staje na arenie. — wtedy z niecierpliwością oczekiwano pierwszego debiutu nowych żywiołów na trybunie sejmowej, z której dotychczas odzywały się tylko głosy tradycyjnych parlamentaryuszów: senatorów i szlachty, — lub późniejszej daty prawodawców: przedstawicieli mieszczańskiej inteligencyi. Szła po kraju ciekawość i tysiące rodziła domysłów. Jedni z nową ewolucyą spółeczną pogodzić się nie mogli i mieli tylko głośne przekleństwa, bajki o socyalizmie i głuche żale na rząd krajowy, że pałką policyjną nie ubił „chłopskiej arogancyi". Drudzy pocieszali się nadzieją, że nieudolne występy posłów włościańskich w oczach całego zdrowo myślącego społeczeństwa tak skompromitują powagę sejmu, że trzeźwiejszych demokratów wyleczą z chorobliwych dążeń, aby lud w ludzie szukał przedstawicieli swoich. Inni wreszcie, pozujący na „objektywnych i umiarkowanych demokratów" mówili: „Czekajmy! Może obniży się przeciętny poziom inteligencyi w legislaturze krajowej, ale rozebrzmi za to niesfałszowany, na doświadczeniu na przeżytych bolach oparty głos ludu, którego wysłuchać koniecznie potrzeba, jeśli ma się nad podniesieniem tego ludu skutecznie pracować." W wszystkich tych głosach jednak znać było nutę wyraźnej niechęci do „nowych sił" w sejmie galicyjskim; po za ludem samym zaledwie drobna garstka inteligencyi z ufnością spoglądała na chłopskich deputowanych, uznając ich prawo bytu, wierząc w ich wpływ korzystny na obywatelskie uświadomienie ludu i nie lękając się ani chwili, aby chłopskie mowy i wnioski skompromitowały powagę izby sejmowej.

Kadencya się rozpoczęła i niebawem włościańscy posłowie w szeregu interpelacyi, mów i wniosków rozpoczęli działalność swoją. Nie należę bynajmniej do sentymentalnych ludolubów, rozczulających się na widok każdej czapki baraniej i chłopskiej sukmany, przeciwnie, razi mnie nawet w galicyjskim ruchu pewna jednostronność kastowa, pewna chłopomanja fanatyczna i pewna gdzieniegdzie występująca sielankowa tkliwość, zaciemniająca trzeźwą ocenę stosunków i ludzi. Wobec tych *Bojków* jednak, *Kramarczyków* i *Wojcików* przemawiających tam z trybuny sejmowej ogarnia mnie jakaś wielka otucha, że to hasło wyborcze, aby chłopów chłop reprezentował, już dziś wydać może zdrowe owoce. Ci posłowie włościańscy zamanifestowali nietylko znajomość stosunków, lecz nawet parlamentaryzm pewien, nietylko zrozumienie interesów jednej warstwy, jednego stronnictwa, lecz tę świadomość obywatelską, która ogarnia szersze dziedziny życia narodowego. Lękałem się zrazu, że skargi, płynące z chłopskiego serca zabrzmią w akompaniamencie nienawiści kastowej, — ciasne, jednostronne, uogólniające zawody i gorycze osobiste, — lękałem się melodramatycznych elegii pozbawionych parlamentarnej analizy i syntezy, — lecz tam z trybuny ozwały się głosy silne, plastyczne, wyłuszczające jądro kwestyi i praktycznym chłopskim rozumem dyktujące plany reformy. Jakże marnym wobec tego jest stanowisko prasy konserwatywnej, opowiadającej czytelnikom swoim z uśmiechem ironii, że „poseł Lewakowski urządza dla chłopa Bojki bankiet wspaniały *po 50 centów od osoby*." Bezsilna złość bije z tej niesmacznej wycieczki „Czasu" krakowskiego. Jeżeli was, panowie, nie stać na inne metody walki, — jeżeli już w braku szlachetniejszej broni ruch ludowy *ośmieszyć* pragniecie, to zaiste litość bierze nad nędzą satyry waszej, łachmanami świecącej. A wy z obozu „trzeźwych demokratów", wysyłających kokieteryjne spojrzenia w stronę ludu, dopóki lud sam głosu nie zażądał, kwitując z „łaskawej opieki", — wy zdobyliście się tylko na płaskie drwiny z tych chłopów sejmowych, którzy „opierają się na mądrości Conversationlexikonów i zakulisowych suflerów." Postawiliście ni ztąd ni z owąd twierdzenie, że niesfałszowany „chłopski rozum" mówić ma przez usta posłów włościańskich, a książkowej mądrości czerpać im nie wolno, — wydrwiliście posła Wójcika, że „fanfaronuje nowo uszytym ubiorem ludowym, jak gdyby miał wystąpić w balecie", a śmiech i litość budzi, gdy wspomina o stosunkach norweskich lub sięga do wspomnień historycznych. I nie dość na tem! Pyszne inteligentniki, strzegące przywilejów erudycyi swojej z zazdrością braminów indyjskich, przywłaszczające sobie nawet monopol pewnych form stylowych, skarżą się na „zarozumiałość" dyszącą rzekomo w słowach posła Wójcika, iż on - poseł Wójcik - „spotyka się z końcem XIX wieku z dziwolągiem ustawy łowieckiej".

Cała ta krytyka posłów chłopskich, zamieszczona w wiedeńskim „Przełomie", jest charakterystyczną spowiedzią, odsłaniającą owe kastowe uczucia w głębinach dusz śp. demokratów galicyjskich, które długo pokrywał pokost ułudnych frazesów. Lud był ukochanem dziecięciem, dopóki ojcostwo wasze znosił bez szemrania, bez protestu, bez krzty samodzielności, — lecz stał się natychmiast zbuntowanym pyszałkiem, gdy o prawa pełnoletności upominać się zaczął. Oświata ludu była tematem demokratycznych zachwytów, gdy chłop pod waszą komendą deklamował wyuczone mówki na posiedzeniach kółek włościańskich lub narodowych festynach, ale z tą samą chwilą zyskała miano fanfaronady i „pożyczanej mądrości" gdy w występach samodzielnie wybranych posłów chłopskich przemawia faktami z historyi lub utoczonym zwrotem stylowym. Nie mogąc zakwestyonować inteligencyi Bojków i Wójcików zbudowano sobie jakąś teoryę o „chłopskim rozumie", który powinien pozostać czystym — niesfałszowanym czytaniem „Conversationslexikonów" i suflerowanemi radami dziennikarskich kierowników ruchu ludowego. A skoro i ostrze takich teoryi wobec niektórych przemówień bezsilnem się okazało, skoro poseł Kramarczyk zmusił nawet najzaciętszych przeciwników swoich do przyznania, że jemu nikt nie suflował, że „mówił z siebie", wtedy znowu skrzywili się demokraci z wiedeńskiego „Przełomu" i po mozolnem szukaniu taką odkryli piętę Achillesową: „Poseł Kramarczyk nie mówił jak chłop, lecz jak prawny doradca chłopów".

Cóż? Zabili Kramarczyka, zabili posłów chłopskich, zabili ruch ludowy. Wer lacht da?

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* **„Wiek Młody."** Oto mamy przed sobą pismo dla dzieci i młodzieży wycho-

dzące pod powyższym tytułem od lat trzech we Lwowie pod redakcyą p. Zofii Mrozowickiej. Najpoważniejsze głosy krytyki galicyjskiej zwróciły już przychylną uwagę na to wydawnictwo, zasługujące w zupełności na szerokie rozpowszechnienie wszędzie, gdzie tylko biją polskie serduszka, gdzie rodzice chcą, aby ich dzieci czuły i myślały po polsku. Prawdziwy, dobrze zrozumiany patryotyzm stanowi główną cechę „Wieku Młodego.“ Nie mniejszą jednak zasługą Redakcyi jest prawdziwa literacka i pedagogiczna wartość każdego zamieszczanego tam artykułu, dobór pierwszorzędnych współpracownictw, poprawność i czystość języka, a przytem i wyjątkowo piękna strona zewnętrzna tego pisma. Bardzo dobrym i praktycznym jest podział każdego numeru na dwie osobne części, dla starszych i młodszych — w ten sposób zarówno sześcioletni jak i czternastoletni czytelnicy znajdą w „Wieku Młodym“ odpowiedni dla siebie dobór powieści, wierszy, komedyjek, opisów podróży, artykułów naukowych, zagadek... słowem — wszystkiego, co może im przynieść przyjemność i pożytek. Oprócz tego, dodaje jeszcze „Wiek Młody“ swoim czytelnikom trzeci dział stały, a nie najmniej ponętny: oto biblioteczkę wyborowych powieści dla młodzieży, w której skład wchodzą same utwory oryginalne a nie drukowane dotąd nigdzie, tem bardziej zajmujące dla naszych dzieci, że owiane tchnieniem swojskości, malujące rzeczy bliskie ich myślom i sercu. To też w korespondencyach, jakie redakcya prowadzi w łamach pisma ze swymi czytelnikami, znać, że „Wiek Młody“ potrafił sobie zjednać serdeczne przywiązanie zarówno bardzo malutkich jak i starszych, poważniej już czujących i myślących czytelników. Zachęcamy szczerze naszą dziatwę do osobistego zapoznania się z tem pismem.

Adres Redakcyi i Administracyi „Wieku Młodego“ jest: Lwów, ulica św. Mikołaja Nr. 1a. — Numer okazowy wysyła Redakcya na żądanie bezpłatnie.

* * *

— **Kazimierz Malczewski.** *Nowele. Kraków. Gebethner i Wolff.*

Pod tytułem „Nowele“ wyszedł z pióra Kazimierza Malczewskiego w Krakowie nakładem Gebethnera i Wolffa tomik pierwszy krótkich opowiadań, publikowanych już po części w pismach warszawskich, krakowskich i lwowskich. Autor zresztą już od lat kilku znany jest na niwie literackiej z swych prac tak wierszem jak prozą, z których poemat „Noemi“ wydany w Krakowie r. 1893, wyszedł nawet z ilustracyami St. Wolskiego i St. Fabiańskiego

Opowiadania zawarte w tomiku pierwszym „Nowel“ są to sceny krótkie, po części ze wspomnień autora zaczerpnięte, w guście owej literatury lekkiej, którą napotykamy po pismach naszych beletrystycznych, w lekturze podróżnej, kalendarzach i t. p. Będą one zawsze stanowiły miłą rozrywkę dla znużonego umysłu, łaknącego roztargnienia, chociaż poszczycić się nie mogą wielką oryginalnością przedmiotu, ani co do inwencyi, ani co do formy, a całość tych fragmentowych powiastek w zbyt ciasnych porusza się ramach, by zasłużyć na miano noweli. Sceny drastyczne z życia w żywej przedstawione formie, językiem lekkim, naturalnym i oddającym szczęśliwie poszczególne sytuacye, zawsze podobać się będą, jak się podobają figurki miniaturowe, zdobiące po salonach naszych stoliki i etażerki, w których również wybitniejszej nie znajdziesz wartości, gdyż to wszystko odlewy na jedną modłę i szablon. — Umieszczona wśród opowiadań fantazya dramatyczna „Sen“ wcale się nie udała autorowi. Napisana jest wierszem ciężkim, wymuszonym, dyalog sztywny, nienaturalny, brak akcyi, forma całkowicie chybiona. Autor zapomina, że właśnie fantazya największej wymaga podniosłości myśli, gdzie słowa tryskają kolorem tęczowym, gdyby perły wody w kaskadzie, a wymuszoność i ociężałość istnieć nie powinny. Drobnostka „Szał“ podana na ostatniej stronnicy tomiku pierwszego mogła spokojnie, bez uszczerbku dla literatury, spoczywać w biurku autora, lub powędrować raczej ze stósowną ilustracyą do jakiegoś za efektem goniącego kalendarza. To coś nakształt zapisków pugilaresowych z pod drzew wiedeńskiego prateru, szereg słów dwuznacznych, mających zaintrygować domyślnikami frywolnemi i niebywałym stylem fantazyę czytelnika. W końcu dodajemy, iż pod prasą znajduje się tego samego autora: Galerya mężów: Lampart, Zazdrosny, Pantofel, Smakosz, Pedant itd.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

4. W Poznańskiem panuje zwyczaj mówienia i pisania zdrobniałych imion własnych z końcówką *u*: *Kaziu, Władziu* i t. d. Poprawnie pisze się: *Kazio, Władzio.*

5. Mówi się *natrafić na...*, ale nie należy mówić *napotkać na...*; *na* przy *napotkać* jest zbytecznem.

6. Nader często używamy *jak* zamiast *gdy, kiedy.* „*Jak* go zobaczył, to się wielce ucieszył“; lepiej: „*Gdy, kiedy* go zobaczył“.

7. Zbyt często piszemy *jaki*, zamiast *który*, nie zdając sobie sprawy, że nie zawsze używać należy pierwszego zamiast drugiego. *Jaki* wtedy tylko powiedzieć można, jeżeli poprzednio rzekło się, lub pomyślało: *taki*; który zaś, jeżeli się rzekło lub pomyślało: *ten*. Gdy więc napiszemy: „Osoby, *które* tam widziałem“, to mamy na myśli: „*Te* osoby, *które* tam widziałem..“; kiedy zaś powiemy: „Osoby, *jakie* tam widziałem...“, to mamy na myśli: „*Takie* osoby, *jakie* tam widziałem...

8. Nie mówmy *mięszać i mięszkać*, lecz *mieszać i mieszkać.*

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Posłowie alzaccy złożyli w parlamencie niemieckim powtórny wniosek o zniesienie dyktatury. — W dolnoaustryackim sejmie przyszło znowu do hałaśliwego skandalu z powodu wniosku antysemitów, aby rząd natychmiast rozpisał wybory do wiedeńskiej rady gminnej. Zamieszanie, hałaśliwa kłótnia i ordynarne wyzwiska trwały blisko godzinę. — Książę bułgarski Ferdynand zgodził się na chrzest prawosławny syna swojego Borysa. Chrzestnym ojcem będzie car Mikołaj. — We Lwowie wybuchła zmowa zecerów. Pisma lwowskie wychodzą z powodu tego w formacie zmniejszonym. —

Teatr i muzyka. W czwartek ubiegły odegrano na benefis p. Paszkowskiej pięcioaktowy dramat Wężyka p. t. „Wanda, córka Krakusa.“ Teatr był wyprzedany. Beneficyantkę, która mianowicie w IV i V akcie zachwycała słuchaczów niepospolitą siłą dramatyczną, obsypano kwiatami. Obszerniejszą recenzyę poświęcimy przedstawieniu temu w numerze następnym. — W poniedziałek odbyło się na scenie naszej przedstawienie amatorskie na cele dobroczynne, urządzone staraniem zasłużonych filantropek: p.p. prof. Jaroczyńskiej, St. Ołyńskiej, Serafinowej Zychlińskiej i prof. Węclewskiej. Odegrano dwie sztuczki: „Tatuś pozwolił“ Mosera i „Tajemnicę“ Dobrzańskiego, przeplatając sceniczne produkcye piękną deklamacyą i prezentując na zakończenie dwa żywe obrazy, odznaczające się artystycznym układem. Wierni przyjętemu zwyczajowi, nie wymieniamy nazwisk amatorów i amatorek, podnosząc tylko z uznaniem staranną prace i dobre chęci przygodnych artystów, z których ten i ów nawet zamanifestował pewien temparament sceniczny. Nakarmiono głodnych, osuszono łzy wielu starców i kalek, a to przeświadczenie dla niestrudzonych inicyatorek oraz całego grona amatorów jest niezawodnie piękniejszą nagrodą od reklam dziennikarskich. — W przyszły czwartek ukaże się na scenie poznańskiej czteroaktowy dramat Wiktora Sardou p. t. „Czarne dyabły“ na benefis p. Wostrowskiego. Tak nazwisko głośnego komedyopisarza jak wybitny talent młodego beneficyanta skłonić powinny publiczność, by w dniu tym wypełniła teatr po same brzegi. — Sara Bernhardt pragnie wprowadzić na scenę paryzką jednoaktowy dramat Bar'a pt. „Chrystus na święcie Purym“, a rolę Magdaleny rezerwuje dla siebie. — Na 470 nowych dramatów granych na scenach angielskich, 432 upadły po pierwszem przedstawieniu. — Farsa „Seitensprünge“ Mauthnera ma na scenach niemieckich dużo powodzenia. — P. P. Heller i Bandrowski oświadczyli, iż gotowi byliby w teatrze krakowskim urządzić szereg przedstawień operowych przy udziale sił pierwszorzędnych, jeżeli im zostanie przyznaną subwencya. — We Lwowie święci prawdziwe tryumfy śpiewaczka włoska Gemma Bellincioni. — Władze policyjne w Dreźnie wzbroniły wystawienia dramatu Zieglera p. t. Paragraf 45. — Pani Stachowicz zjedzie na gościnne występy do Poznania w pierwszej połowie wielkiego postu. — Pan Śliwiński, reżyser teatru Małego w Warszawie, powrócił już z podróży urzędowej za granicę, zkąd przywiózł kilka nowych fars i operetek. — O warszawskim występie Mierzwińskiego rozpisuje się cała krytyka z wielkiemi pochwałami. Głos znakomitego tenora nie stracił podobno na sile i czystości, a posiada obecnie więcej liryzmu niż dawniej. — Jednoaktówka Lubowskiego „Mankiet“ doznała w Warszawie sympatycznego przyjęcia.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Helena. Piołunowej korekty, wystosowanej pod naszym adresem, uznać nie możemy. Zwrot, potępiany tak drastycznie przez panią, nie sprzeciwia się bynajmniej duchowi języka polskiego. Jest on zupełnie poprawnym, uznanym przez lingwistykę i używanym przez najlepszych stylistów. Radzimy Pani szczerze uzupełnić wykształcenie swoje studyami gramatyki polskiej i czytaniem dobrych autorów, bo dzisiaj podziwiać możemy tylko w jej gramatyczno-stylowych wykładach niesmaczną pretensyonalność. — Chcąc mówić o prawidłach języka polskiego, nie wystarcza zapamiętać sobie kilka formułek z pensyonarskiej gramatyki p. Radońskiej, w której nadomiar roi się tłum dziwolągów. Uczyć się trzeba długo, uczyć i jeszcze raz uczyć — surowa nauczycielko.

M. C. Kwestya przedstawiona w artykule nie posiada ogólniejszego znaczenia.

Lord. Wierszyk pański p. t. „Flirt“ posiada niewątpliwe zalety literackie, — nadaje się jednak tylko do pism codziennych lub tygodników humorystycznych.

Grono czytelniczek. O dodatkach powieściowych i premjach prospekty nasze i „zaproszenia do przedpłaty“ nie wspominały ani jednem słowem. Prosimy jednak starać się o powiększenie liczby abonentów naszych, a wtedy redakcya nie omieszka zadość uczynić życzeniom Szanownych czytelniczek.

OD ADMINISTRACYI.

— Czytelników prosimy o łaskawe nadesłanie nam **numeru 10-go** (rok 1895) pisma naszego. Reflektant chce zapłacić zań 50 fenigów.

— P. M. Szulc w Monachium. Nadesłane 3 m. na Czytelnie Ludowe wpłaciliśmy do Dziennika Poznańskiego.

— **Przypominamy Czytelnikom naszym składkę na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim.**

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.